

II 645.040

Ex Libris  
W. CHOYNOWSKICH  
Warszawa



BIBLIOTEKA  
DZIEŁ WYBOROWYCH

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor  
Stanisław Lam

Wydawca  
Feliks Gadomski

Rok II Tom XXIX

(Ogólnego zbioru serja II, tom XLII)

Cena tomu w prenumeracie . . . zł. 1.39

Cena tomu poza prenumeratą . . . zł. 2.20

Redakcja i Administracja:  
Warszawa, Sienkiewicza 12



Ex Libris  
W. CHOYNOWSKICH  
2 3 Warszawa  
SIR ARTHUR CONAN DOYLE

WSPOMNIENIA  
I PRZYGODY

Z oryginału angielskiego tłumaczył  
z upoważnienia autora

F. S.

Tom II

Księgarnia Biblioteki Dzieł Wyborowych  
Warszawa, Sienkiewicza 12

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017191560



II.645.040

Złożono i odbito w drukarni „Rola”  
Jana Buriana, Mazowiecka Nr. 11

4952 K 300

## XI

### NORWOOD I SZWAJCARJA

Skłonność do studjów psychicznych.—Młodzi pisarze.—Z dziejów bitwy pod Waterloo. — Okrutny cios. — Odczyty w Ameryce (1894). — Major Pond. — Pierwszy odczyt. — Anty-brytyjski nastrój. — Przepowiednia.

Głównym wypadkiem naszego życia w Norwood były narodziny syna mego Kingsley'a, który dożył wielkiej wojny, odegrał w niej czynną, męską rolę i umarł wkrótce po jej zakończeniu. Życie moje było tak pełne zajęć, że nie miałem czasu zastanawiać się wiele nad zagadnieniem religji, lecz wyczuwałem w sobie coraz większą skłonność do spraw psychicznych i zapisałem się do Towarzystwa Badań Psychicznych, do którego należę do dziś dnia, jako jeden z jego starszych członków. Odbyłem sam kilka doświadczeń psychicznych, lecz moja filozofja materialistyczna, której wyrazem jest książka p. t. „The Stark Munro Letters“, napisana pod koniec okresu, spędzonego w Norwood, była mocno ugruntowana, że nie łatwo

ją było ruszyć z posad. Lecz w miarę jak z roku na rok poznawałem coraz lepiej niezwykłą literaturę psychiczną, poświęconą zarówno wiedzy jak i doświadczeniom, silna postawa spirytualizmu czyniła na mnie coraz większe wrażenie, wzmocnione przede wszystkim lekkomyślnością, lekceważeniem i brakiem wiedzy, charakteryzującym jego przeciwników. Religijna strona tej dziedziny nie uderzała mnie jeszcze wtedy, czułem jednak coraz wyraźniej, że nie znajduję dostatecznej odpowiedzi na autentyczność zjawisk, zaręczaną przez ludzi tej miary co Sir William Crookes, Barrett, Russell Wallace, Victor Hugo i Zöllner. „Niewiarogodne a przecież prawdziwe”, oświadczył Crookes i ten paradoks zdał się ujmować dokładnie moje budzące się nowe przekonania. Każdy numer tygodnika „Light” stanowił dla mnie nowy bodziec, gdyż czuję się w obowiązku wyznać, że pismo to należało i należy do tych, które dają najwięcej do myślenia.

Wspomnienie tych lat od 1880 do 1893 skupia się dokoła stopniowego zjednywania sobie stanowiska w literackim świecie Londynu. Niezwykłą cechą tych lat było ogólne narzekanie prasy londyńskiej na upadek literatury angielskiej i jej przekonanie, że nie ma młodych autorów, którzyby rokowali nadzieję, że zajmą godnie miejsca tych, którzy odeszli. A przecież faktem jest, że istniała wtedy bardzo liczna grupa rówieśników, wybijająca się na czoło, która nie posiadała wprawdzie ani Dickens'a ani Thackeray'a, lecz mogła co do różnorodności i bogactwa typu wytrzymać porównanie z grupą każdego innego okresu naszej lite-

ratury. Właśnie w tych czasach, między 1888 i 1893 zdobywali sobie ostrogi rycerskie pisarze tacy jak Rudyard Kipling, James Stephen Phillips, Watson, Grant Allen, Wells, Barrie, Shaw, H. A. Jones, Pinero, Corelli, Weyman, Hope, Hall Caine i wielu, wielu innych. Znaczną ich część poznałem w okresie ich bujnej młodości, w pełni ich sił i władz. O niektórych z nich będę musiał powiedzieć więcej w dalszym ciągu. Co do starej szkoły, była ona niewątpliwie w pewnym upadku, tak, że młodzi nie napotykali wielkich trudności w znajdowaniu posłuchu. Wilkie Collins, Trollope, George Eliot i Charles Reade byli w grobie. Dla tego ostatniego miałem zawsze wielki podziw, gdyż był on istotnie wielkim nowatorem, który powieści swe opierał na dokładnych studjach dokumentów historycznych. On był ojcem literackim Zoli. George Eliot nie należał do mych autorów ulubionych, lecz Trollope'a uważałem zawsze za pisarza bardzo oryginalnego, jakkolwiek sędzę, że jego ród literacki wywodzi się od Jane Austen. Trudno dziś o pisarza absolutnie oryginalnego. Zawsze jest ten punkt styczny, w którym nawet największa gałąź łączy się ze swym pniem.

Z literatów, z którymi się wtedy zaznajomiłem, najżywiej przypominam sobie grupę, zebraną wokół nowego miesięcznika p. t. „The Idler“, założonego przez Yerome K. Yerome, słynnego autora powieści „Three Men in a Boat“. Powieść ta przesycona jest bujnością i radością życia, z którymi młodość wkracza w świat, w takiej mierze, że dziś jeszcze, gdy mnie czasem smutek opanuje, nie mogę powstrzymać śmiechu po otworzeniu tej książki. Yerome jest jednym

z tych prawdziwych humorystów, którzy na życie patrzą bardzo serjo; był on jednak skłonny do gwałtownych wybuchów i nietolerancji w dziedzinie politycznej, co odstręczało odeń wielu przyjaciół. Współwydawcą rzeczonoego pisma był niejaki Robert Barr, Amerykanin pochodzenia szkockiego, człowiek wulkanicznego temperamentu przy najlepszym sercu. Był to jeden z najlepszych gawędziarzy, jakich znałem; co do jego twórczości literackiej mam wrażenie, że nie spotkał się on z należytem uznaniem. Redaktorem był George Burgin, postać z kart Dickens'a, zaś głównymi współpracownikami byli Barrie, Zangwill i sporo innych, torujących sobie drogę do sławy i uznania. Z tymi wszystkimi spotykałem się od czasu do czasu na wspólnym obiedzie, gdyż jakkolwiek pozostawałem wierny miesięcznikowi „Strand”, rzeczy nie odpowiadające jego wymaganiom drukowałem w piśmie „The Idler”.

Dwa fakty z tego okresu wysuwają się na czoło w mej pamięci. Jednym był spodziewany wybuch wojny z Francją; pod wpływem powszechnej wiary w tę wojnę, począłem robić starania o stanowisko korespondenta wojennego na Morzu Śródziemnym, będąc pewnym, że tam się skupi cała akcja i zainteresowanie. Posadę otrzymałem i poczyniłem przygotowania do wyjazdu, lecz na szczęście przesilenie zostało zażegnane. Drugim była moja pierwsza próba w zakresie literatury scenicznej. Napisałem był nowelkę p. t. „A Straggler of '15” („Maruder z r. 1815”), która zawierała wzruszający obraz starego wiarusa. Mnie samemu lży stawały przy pisaniu tej rzeczy, zaś to naj-

pewniejsza droga do poruszenia innych do łez. Przerobiłem ją na jednoaktówkę i zebrawszy się na odwagę posłałem H. Irving'owi, którego ubóstwiałem od czasu, gdy w Edynburgu biegał na galerję, by go zobaczyć w „Hamlecie”. Jakaż była moja radość, kiedy otrzymałem uprzejmy list od jego sekretarza, ofiarujący mi sto funtów za prawa autorskie. Opłaciła mu się ta sumka, gdyż rola Kaprała Grzegorza Brewster stała się jedną z głównych ról jego repertuaru i miała tę zaletę, że im bardziej się starał, tem naturalniej ją grał, a teatr śmiał się i płakał na przemian, tak jak ja przy pisaniu. Kilku krytyków objaśniało powodzenie wyłącznie genialną interpretacją Irving'a, twierdząc, że bez tego sztuka była mniej niż przeciętną. Na to mogę odpowiedzieć, że ostatnie jej przedstawienie jakie widziałem, odbyło się w małej wiosce i że rolę główną grał prawdziwy kapral z pobliskiego obozu. Mimo to wrażenie było takie samo jak to, które wielki Irving wywołał w Lyceum. Musiało więc być coś w sztuce samej, tem więcej, że rękopis zawierał wszystkie wskazówki sceniczne. Dodam tu, że Irving przysyłał mi za każde przedstawienie gwineję (21 szylingów), mimo, że nabył prawa na własność. Henryk Irving, Junior, grał tę samą rolę po śmierci ojca, mojem zdaniem. lepiej. Pamiętam dobrze jak się zarumienił i jak mi uściśnął dłoń, usłyszawszy to słowo „lepiej”. Nie wątpię, że musiało go boleć to wieczne mierzenie go miarą wielkiego ojca, do którego był tak uderzająco podobny. Jego przedwczesna śmierć była wielką stratą dla sceny, podobnie jak śmierć jego brata Wa-

wrzyńca, który wraz ze swą żoną utonął w Kanadzie, w rzece św. Wawrzyńca.

Z kolei muszę poświęcić kilka słów wielkiemu nieszczęściu, które zamroczyło nasze życie na długie lata. Jak już wspominałem, zrobiłem z żoną wycieczkę do Szwajcarii. Czy żona nadwerżyła swe płuca podczas niej, czy też zaraziła się w którymś z hotelów, trudno rozstrzygnąć; dość na tem, że w kilka tygodni po powrocie zaczęła kaszleć i skarżyć się na ból w boku. Nie przypuszczając nic poważnego, zaważałem jednego z najlepszych lekarzy z sąsiedztwa. Jakież było moje przerażenie, gdy mi oświadczył, że płuca są bardzo poważnie zajęte, że ma wszelkie podstawy do orzeczenia, że to suchoty i że niema wielkiej nadziei zupełnego wyleczenia z uwagi na fakt, że w rodzinie żony choroba ta często się powtarzała. Położenie moje stało się ciężkie; djagnozę lekarza potwierdził Sir Douglas Powell, którego umyślnie sprowadziłem. Lecz to zdwoiło moją energję; zwinąłem dom, sprzedałem niedawno kupione meble i z całą rodziną przeniósłem się do Davos, które dawało największą rękojmię zabicia tych mikrobów, niszczących życie mej żony.

Zdaje mi się, że mam prawo twierdzić, iż cel został osiągnięty; jeśli zważymy, że były to tak zwane suchoty „galopujące” i że doktorzy nie dawali więcej jak kilka miesięcy życia, przedłużenie go od r. 1893 do 1906, t. j. o lat trzynaście, dowodziło skuteczności przedsiębranych i stosowanych środków. Życie żony w otoczeniu cudownej przyrody nie było nieszczęśliwe; rzadko kiedy odczuwała ona ból i żyła z tym opty-



mizmem, który jest tak właściwy tej chorobie i który odpowiadał jej spokojnej, pogodnej naturze.

Ponieważ Davos nie obfituje w rozrywki towarzyskie, mogłem być oddać się nie tylko mej pracy literackiej, lecz także sportom zimowym, którymi miejscowość ta słynie. Tam też rozpocząłem serję opowiadań pod zbiorowym tytułem Brygadier Gerard, opartą przeważnie na studjach, zawartych w znanem dziele „The Memoirs of General Marbot”. Praca ta wymagała również sporo bardzo szczegółowych studjów epoki Napoleońskiej; mam jednak przekonanie, że militarna strona mej pracy odznaczała się ścisłością, zwłaszcza, że otrzymałem list z gorącym uznaniem od słynnego korespondenta wojennego Archibalda Forbes'a, który jest znany ze swych studjów wojen Napoleońskich. Przed końcem zimy lekarze nas zapewnili, że postęp choroby został wstrzymany. Obawiając się wracać do Anglii, gdzie stan zdrowia mógłby się znowu pogorszyć, przenieśliśmy się na lato do uzdrowiska Maloja, w samym końcu doliny Engadinu, gdzie stan zdrowia mej żony utrzymywał się naogół na jednym poziomie.

W tym czasie zamieszkała przy nas siostra moja Lottie, która nareszcie mogła zarzucić wycieranie cudzych kątów. Młodsza siostra Connie przybyła do nas z Portugalji już w Norwood, gdzie poznała powieściopisarza E. W. Hornung'a, za którego wyszła później za mąż. Obecnie polepszenie się znaczne zdrowia mej żony i pobyt siostry Lottie przywróciły mi nieco swobody ruchów, tak, że otrzymawszy propozycję wygłoszenia szeregu odczytów o literaturze w Ameryce, po-

stanowiłem ją przyjąć i udać się w tę podróż jesienią r. 1894.

Ponieważ chciałem mieć jakiegoś towarzysza w tej wyprawie, zaprosiłem brata Innes'a, który ukończył był właśnie Akademię Wojskową w Woolwich w stopniu oficera. Przebyliśmy ocean na niefortunnym linjowcu niemieckim Elbe, który niedługo potem zatonął, zderzywszy się na Morzu Północnym ze statkiem węglowym. Miałem znowu sposobność zaobserwowania tej irracjonalnej nienawiści wszystkiego co brytyjskie, która w dwadzieścia lat później miała przywieść do upadku imperjum niemieckiego. Pamiętam, że jednego dnia przy okazji jakiejś uroczystości, salon okrętu udekorowano obficie flagami niemieckimi i amerykańskimi, nie wywieszając wcale brytyjskiej, mimo znacznej ilości Anglików na liście podróżnych. Wtedy to obaj z bratem narysowaliśmy flagę brytyjską i przymocowaliśmy ją w miejscu widocznym, gdzie się nieco zanadto rzuciła w oczy.

Urządzeniem moich odczytów zajmował się Amerykanin, niejaki major Pond. Był to typowy Jankes, wysoki, olbrzymich członków, z krótką bródką i nosowym głosem. Brał on udział w wojnie secesyjnej i należał niemal do każdego ważniejszego wypadku szych czasów.

Był to człowiek miły, zacny i uczynny, tak, że zawarliśmy wielką przyjaźń. Spotkał nas w dokach i zaprowadził do małego hotelu, położonego w pobliżu klubu literackiego „Aldine”, gdzieśmy się stołowali.

Zaraz po przybyciu czekała mnie ciężka praca, która nie dawała mi wiele czasu na robienie ogólni-

kowych spostrzeżeń. Lista odczytów ułożona przez Ponda była długa, lecz tak rozłożona, że na Boże Narodzenie miałem stanąć z powrotem w Davos. Pierwszy mój odczyt odbył się w modnym kościele Babtystów, w którym każdy nowy prelegent Pond'a rozpoczynał swą serję. Z poczekalni wchodziliśmy już na estradę, kiedy nagle poczułem, że coś dotyka mego ucha. Przekonałem się, że był to koniec odpiętego kołnierzyka, że mój krawat się obsunął a spinka wypadła i znikła bez śladu. Stojąc tam na brzegu estrady, Pond wreczył mi swoją spinkę, tak, że mogłem wszystko przeprowadzić do ładu, podczas gdy mój impressario wyszedł, by się zaopatrzyć w spinkę. Dziwna rzecz, jak mała rzecz może zapobiedz w ostatniej chwili bezwiednemu ośmieszeniu się wobec publiczności.

Odczyt mój spotkał się z dużym aplauzem. Mój sposób czytania polega na jak największej naturalności, bez afektacji i bez aktorstwa. Wyczerpuje to mniej i prelegenta i słuchaczy. Podczas odczytu cytowałem nowszych autorów brytyjskich, włączając również wyciągi z mych własnych utworów, że zaś mieszałem rzeczy poważne z wesołemi, więc nie znużyłem publiczności. Prawda, że niektóre pisma oświadczyły, że nie umiem wcale czytać, chcąc przez to powiedzieć, że nie recytowałem jak aktor, lecz inne godziły się na moją metodę. W każdym razie przyjęcie przez publiczność było pełne entuzjazmu, tak, że Pond oświadczył mi na drugi dzień, iż spał z uśmiechem na ustach. Nie miał on żadnej trudności z zamówieniami na odczyty, które wygłaszałem w każdym mieście między Bostonem na północy a Waszyngtonem na połud-



niu, podczas gdy na zachodzie granicą mą były Chicago i Milwaukee.

Czasem postępowały one tak szybko jeden po drugim, że na nic innego nie było czasu. Tak na przykład raz wygłaszałem odczyt w Daly's Theatre w Nowym Yorku popołudniu, wieczorem tego samego dnia w Princetown College, odległem o jakieś sto mil, a drugiego dnia popołudniu w Filadelfji. Nic też dziwnego, że wkrótce uczułem się bardzo zmęczonym, zwłaszcza, że sama gościnność amerykańska tych czasów, kiedy o prohibicji nie myślano, pochłaniała niemal całą energję przyjmowanego gościa. Oczywiście trudno było odpowiadać na życzliwość odmową, lecz obowiązki prelegenta narażone były na niebezpieczeństwo. Jedyną przerwą i to bardzo miłą była wizyta, jaką złożyłem Kiplingowi. Lecz wyłączając tych kilka dni, cały czas upłynął jak w kołowrocie, tak, że w drodze powrotnej cały prawie czas spędziłem w mej kajucie, śpiąc i wypoczywając.

Dlatego też moje wspomnienia są mętne i niez jasne. Dobrze jednak pamiętam tę chwilę, kiedy wchodząc na scenę Daly's Theatre, potknąłem się o drewniany próg i w podskokach zabawnych posunąłem się za daleko ku widowni, roniąc trzymane pod pachą książki i papiery, wśród wesołego śmiechu publiczności i wołania „Bis! Bis!“.

Tę naszą wycieczkę zepsuł nam w pewnej mierze nastrój anty-brytyjski, który od czasu do czasu ogarnia Stany Zjednoczone; źródłem jego jest zawsze wspomnienie jakiejś chwili wczesnych dziejów Ameryki Północnej, wydobyte i rozdmuchane do ogromnych

rozmiarów przez wrogiego dziennikarza, lub polityka irlandzkiego. Dla podróżującego obywatela brytyjskiego wydaje się to niedorzecznem i godnem zlekceważenia, gdyż wie on jak jednostronnym jest taki pogląd i jak pożądaną jest flaga amerykańska na każdej uroczystości brytyjskiej. O tem oczywiście przeciętny Amerykanin, który w Europie nie był, niema pojęcia. Pamiętam, że w pewnym klubie w Detroit wydano bankiet na nasze przyjęcie, podczas którego wino lało się obficie. Pod koniec jeden z naszych gospodarzy wygłosił mowę, w której ostro zaatakował Imperjum Brytyjskie. Ja i mój brat, pospołu z dwoma Kanadyjczykami czuliśmy się wysoce dotkniętymi, usprawiedliwiając ten występ ilością wypitego wina. Mimo to poprosiłem o pozwolenie dania odpowiedzi, w której między innymi powiedziałem, co następuje: „Wy, Amerykanie, żyliście dotąd w obrębie waszych własnych granic, tak, że nie wiecie nic o świecie poza tym obrębem. Obecnie jednak, gdy ląd wasz zapełnia się ludem, zmuszeni będziecie zetknąć się z innymi narodami. Skoro to uczynicie, przekonacie się rychło, że jest tylko jeden naród zdolny zrozumieć wasze zwyczaje i wasze aspiracje, który okaże wam sympatję. To jest wasz pierwotny kraj ojczysty, który teraz tak lubicie znieważać. Kraj ten to Imperjum, lecz wkrótce i wy staniecie się Imperjum i pojmiacie wtedy, że macie tylko jednego przyjaciela na świecie“. W jakieś dwa czy trzy lata później wybuchła wojna kubańska i zdarzył się ten znany epizod w zatoce Manilli, gdzie komendant brytyjski połączył się z Amerykanami prze-

ciw Niemcom; zaszyły też i inne wypadki, które potwierdziły prawdę moich słów.

Pisarz średnio zarabiający traci materialnie, wygłaszając serję odczytów w Ameryce, o ile serja nie jest bardzo duża. Przez stratę nie mam oczywiście na myśli straty pieniężnej, to znaczy deficytu aktualnego; sądzę jednak, że to co w odnośnym czasie zarobiłby piórem, byłoby intratniejszym. W moim wypadku, po opłaceniu wszystkich wydatków zostało do mojej dyspozycji mniej więcej tysiąc funtów. Rozporządzenie moje tą sumą stworzyło dziwny przykład wysłuchanej modlitwy. Opowiedział to zdarzenie S. S. Mc. Clure, właściciel znanego miesięcznika amerykańskiego. Mówi on, że w pewnym momencie pozostał jako właściciel nowo założonego pisma bez grosza na dalsze jego prowadzenie. Wtedy upadł na kolana w swoim biurze i począł się modlić, prosząc Boga o pomoc. Tego samego dnia Anglik, z którym znał się bardzo niewiele wszedł do jego biura i położył na stole tysiąc funtów ze słowami: „Mc Clure wierzę w pana i w przyszłość pańskiego czasopisma“. Ktoś usposobiony krytycznie mógłby zauważyć, że sprzedanie w takich warunkach tysiąca akcji po ich cenie nominalnej było nabraniem ufnego kupującego. Istotnie przez długi czas nie było mi jasnym, czy Opatrzność, która widocznie czuwała wtedy nad Mc Clure'm, nie straciła mnie z oczu, lecz muszę przyznać, że ostatecznie obie strony wyszły z korzyścią na tej transakcji, gdyż po dwudziestu latach sprzedałem te akcje z dużą nadwyżką. Lecz bezpośredni rezultat był ten, że wróciłem

do Davos z mym zarobionym kapitałem zagwożdżonym, więc bez widocznych korzyści.

Kiedym wrócił, sezon w Davos był w całej pełni. żona moja miała się niezgorzej. W tym to czasie przyczyniłem się do rozwoju narciarstwa w Szwajcarii. Bawiliśmy w Davos tak długo, żem wytknął linje do gry w golf, co się nie na wiele zdało wobec nieprzewidzianej psoty ze strony krów, które miały zwyczaj żucia czerwonych chorągiewek. Z Davos przenieśliśmy się do Caux nad jeziorem Genewskiem, gdzie przez kilka miesięcy pracowałem spokojnie i bez przerwy. W jesieni odwiedziłem Anglję, zostawiwszy moje panie w Caux, i wtedy to zaszły zdarzenia, które drogę naszego życia skierowały pod nowym kątem.

## XII

### EGIPT W R. 1896

Życie w Egipcie. — Przypadek. — Twórcy Egiptu. — W górę Nilu. — Słone Jeziora. — Przygoda w pustyni. — Pustelnia Koptów. — Pułkownik Lewis. — Niespodzianka.

Ten przeklęty mikrob, który tak doszczętnie zdeorganizował system naszego życia i sprawił tyle cierpienia, nie dawał znaku życia tak długo, że zdaniem lekarzy, spędzenie jednej zimy w Egipcie powinno było przywrócić zupełne zdrowie. Podczas mej krótkiej wycieczki do Anglii, dokąd od czasu do czasu musiałem się udać dla przypilnowania moich spraw, spotkałem się z Grant Allen'em, który mi oznajmił, że on także cierpiał na suchoty, lecz że ocalenie swe zawdzięcza powietrzu południowej Anglii, w miejscowości Hindhead, w Surrey. Świadomość, że żona moja mogłaby jednak żyć w Anglii, bez narażenia się na powrót choroby, dała mi tyle energii, że udałem się bez zwłoki do Hindhead, zakupiłem piękny kawałek gruntu pod budowę, powierzyłem sprawę wybudowa-



nia odpowiedniej willi memu przyjacielowi z South-sea, architektowi Ball, i jesienią 1895 opuściłem Anglię z nadzieją, że jeśli pobyt w Egipcie okaże się skutecznym, wrócimy następnego lata pod własny dach. Ta nadzieja zdała się dla mej żony najlepszem lekarstwem.

Po przybyciu do Caux wybraliśmy się natychmiast wygodną drogą przez Włochy, zatrzymując się na kilka dni w Rzymie, do Brindisi, skąd statek zabrał nas do Egiptu. Przybywszy do Cairo, stanęliśmy w hotelu Mena, prawie w cieniu Piramid, z postanowieniem spędzenia tam całej zimy. Moja praca literacka skupiona była jeszcze ciągle na serji Brygadiera Gerarda, do której nagromadzone materiały historyczne przywiozłem ze sobą, tak, że mi nie brakło niczego prócz energii, która mnie jakoś opuściła w tym wyczerpującym siły klimacie.

Naogół spędziliśmy zimę bardzo przyjemnie; ja nawet wdrapałem się raz na wielką Piramidę, poczem postanowiłem nie czynić tego więcej, zadowolając się obserwowaniem nieskończonego łańcucha turystów, którzy wysilali się dla dokonania tego zupełnie bezcelowego czynu. Pozatem uprawiałem grę w golf i jazdę konna. W dziedzinie tego sportu byłem jeszcze wielkim nowicjuszem, wierząc zaś w praktykę, posiadałem co dnia jednego z półdzikich rumaków, utrzymywanych dla wygody gości w sąsiednich stajniach. Jeden z nich dał mi się dobrze we znaki. Fakt, że górna powieka mojego prawego oka jest nieco obwisła, nie jest

rezultatem mych filozoficznych medytacji, lecz dziełem karego wierzchowca, który ruszył z kopyta, jak szalony, zanim zdołałem przerzuconą przez grzbiet nogę osadzić w strzemieniu. Jak długo pędziliśmy przez pustynię, miałem nadzieję, że wszystko skończy się dobrze z chwilą, gdy dzika bestja uczuje zmęczenie, gdyż mimo to, że tylko jedną nogę miałem w strzemieniu, trzymałem się jako tako. Na nieszczęście dotarliśmy do jakiegoś uprawnego pola, gdzie mu się rychło nogi splątały, tak, że upadł, zaś ja przeleciałem ponad jego głową, nie puściwszy lejc z mych rąk. Zanim zdołałem powstać otrzymałem cios kopytem ponad okiem; przyprowadziłem konia z powrotem, przy czym musiałem wyglądać jak krwawe widmo, gdyż zadana w formie gwiazdy rana krwawiła obficie. Pięciu ściegów trzeba było dla jej zaszycia, byłem jednak rad, że oko nie ucierpiało.

Żona moja czuła się obecnie o tyle zdrową, że mogła brać udział w życiu towarzyskiem. Poznaliśmy zatem nieco Cairo, chociaż odległość naszego hotelu, stojącego jakieś siedem mil poza miastem, nie zachęcała do zbyt częstych wycieczek. Sam udawałem się tam częściej, głównie w celu poznania niektórych z tych wielkich ludzi, którzy odegrali wybitną rolę w kształtowaniu losów i dziejów nowoczesnych Egiptu. Tym nowym znajomościom poświęciłem wówczas kilka szkiców, z których przytoczę tu dwa krótkie ustępy.

„W hali Klubu Sportowego znajduje się szeroka i wygodna kanapa; usiadłszy na niej w południe, moż-

na się napatrzeć do syta dość licznej grupie tych Angło-Egipcjan, którzy kierowali lub kierują jeszcze losami tego kraju w naszych czasach. Z pomienionego miejsca ma się otwarty widok na ulicę, którą nagle przejeżdża powóz, z angielskim stangretem na koźle. W powozie tym siedzi człowiek o twarzy rumianej z siwym, krótko po żołniersku przyciętym wąsem, z wyrazem nie pozbawionym dobrego humoru, lecz nieokreślonym. To Lord Cromer, który dzięki swej pracy w Egipcie, ze skromnego majora artylerji został parem Anglji i dzięki któremu Egipt z prowincji Wschodniej został prowincją Zachodu. Wystarczy spojrzeć na tego człowieka, by poznać tajemnicę jego powodzenia dyplomatycznego. Nawet jedno przelotne spojrzenie pozwala dojrzeć, że jest człowiek umysłu jasnego, wielkiej odwagi, fizycznie zdrowy i żelaznych nerwów. Charakterystyczną jest też jego niedbała poza w chwili, w której dźwiga na swych barkach odpowiedzialność bodaj największą obecnie w świecie aktualnej polityki. Jest to poza, która nie dziwi u człowieka, przerywającego nagle dyplomatyczne posłuchania w chwili największego przesilenia politycznego oświadczeniem, że musi iść na partję tenisa. Nic dziwnego, że zyskał on zaufanie całego narodu i że wywarł głębokie wrażenie na umysłowość krajowców, którzy z trudnością zdają sobie sprawę z siły jednostki indywidualnej przy obecnym systemie naszego protektoratu.

Wszystko to jednak dygresja, odrywająca nas od wygodnej sofy Klubu Sportowego, pełnego tych Angli-

ków, których dziełem jest obecnie odrodzenie Egiptu. Ze wszystkich wrażeń, jakie otrzymuje w tym kraju, widok tej grupy energicznych i praktycznych Anglików jest niewątpliwie najsilniejszym. Tu oto siedzą panowie Garstin i Wilcocks, którzy ujarzmili oba brzegi Nilu tak, że zda się przyszłość niedaleka, kiedy wody tej rzeki nie będą wcale dociekać do Morza Śródziemnego. Tam oto Kitchener, wysoki, prosty jak trzcina, milczący żołnierz, ze śladem kuli derwisza na twarzy. A dalej Rogers, który wytepił cholereę, Scott, który zreformował prawodawstwo, Palmer, który obniżył podatki płacone przez fellahów, Hooker, który wytepił szarańczę, Wingate, który zda się znać uczucia każdego krajowca w Sudanie, zaś tuż obok niego siedzi mały człowieczek z rumianą i roześmianą twarzą i jasno-żółtym wąsem; to Slatin, ten sam, który przez szereg lat był w służbie kalifa, a teraz chciałby go mieć przed sobą na odległość szabli".

Niedługo po Nowym roku (1896) zrobiliśmy wycieczkę na statku Cook'a w górę Nilu, aż do ostatnich placówek cywilizacji w Wady Halfa. Brzegi górnego Nilu nie były bezpieczne, gdyż można było widzieć bandy Arabów na wielbłądach, gotowe do napaści, lecz statek dawał dostateczne bezpieczeństwo. Mimo to miałem przekonanie, że kierownicy tych wycieczek biorą na siebie zbyt wielką odpowiedzialność; przekonanie to zamieniło się w pewność, gdym się raz znalazł na skale Abousir z gromadą turystów obojga płci, w miejscu, gdzie nas nic nie oddzielało od koczujących krajowców i gdzie między nami a najbliższym

posterunkiem wojskowym płynęła rzeka. Dodani dla bezpieczeństwa naszego czterej żołnierze murzyńscy nie wskóraliby nic, gdyby się nagle ukazała gromada tych dzikich jeźdźców na szybkołotnych wielbłądach. Otrzymane wtedy wrażenie, dało mi pochop do opracowania takiej sytuacji. W ten sposób powstał utwór „The Tragedy of Korosko”, wydany w Ameryce p. t. „A Desert Drama”, którego przeróbka sceniczna nosiła później tytuł „The Fires of Fate”. Prawda, że nas wtedy nic nie spotkało, lecz oficerowie brytyjscy zgadzali się ze mną, że ryzyko było zbyt wielkie. Ponieważ wszystkie siły pograniczne miały ochotę posuwać się naprzód pod jakimkolwiek pretekstem, nie miałyby one nic przeciw temu, gdyby Derwisze dali się znieść na zastawioną co tydzień pułapkę, w formie grupy wycieczkowiczów.

Trudno byłoby mi wymienić liczbę świątyń, zwiedzonych przez nas podczas tej wycieczki, takie było ich mnóstwo; niektóre z nich pochodziły z czasów zamierzchłej przeszłości, inne były tak świeżej daty, jak czasy Kleopatry i Rzymian. Najbardziej znamionym rysem Egiptu jest majestatyczna ciągłość jego historii. Gdy się bada grobowce Pierwszej Dynastji w Abydos, widzi się rzeźbione głęboko w kamieniu uobrażenia świętego jastrzębia, gęsi i siewki, znaki Horusa i Ozi-risa, Górnego i Dolnego Egiptu. Rzeźby te powstały przed budową Piramid, tak, że muszą mieć około czterech tysięcy lat przed Chrystusem. Z kolei ogląda się świątynię zbudowaną przez Ptolomeuszów, już po

Aleksandrze Wielkim, i widzi się znowu te same symbole, wykute w ten sam sposób. Niema drugiego takiego wypadku w dziejach świata. Cesarstwo rzymskie i Imperjum Brytyjskie nie mogą nawet iść w porównanie. Mierzone miarą ciągłości dziejowej Egiptu, czasy Alfreda Wielkiego byłyby prosto naszym wczoraj, mało co różnem od naszego dzisiaj. Zda się, że tamta rasa uległa jakiemuś skamienieniu, trudno jednak zrozumieć, że nie uległa naporowi jakiejś młodszej, silniejszej nacji.

Sztuka ich stała niewątpliwie wysoko, ale ich władze rozumowe nie budzą podziwu. Świeże odkrycie grobowca królewskiego w pobliżu Teb — piszę te słowa w r. 1924 — wykazuje jak wspaniałymi były ich dekoracje i przybory życiowe. Lecz sam grobowiec dowodzi bardzo niskiej inteligencji. Myśl, że ciało, zużyty zewłó, osłaniający za życia duszę, powinien być przechowany za wszelką cenę, jest szczytem materializmu. A te setki koszów, pełnych wiktuałów dla zaopatrzenia duszy! Mam mocne przekonanie, że ludzie z podobnymi pojęciami, musieli być bardzo słabo rozwiniętymi umysłowo; to los każdego społeczeństwa, które się poddaje władzy duchowieństwa.

Ktoś z naszych nowych znajomych poddał myśl, że powinienem zrobić wycieczkę do Słonych Jezior, leżących jakieś pięćdziesiąt mil od Cairo i zwiedzić tam starą pustelnię Koptycką. Te pustelnie, siedziby świętych i maniaków naprzemian, budziły we mnie wielkie zainteresowanie, gdyż pochodziły one z czasów wczes-

nego chrześcijaństwa. Wprawdzie data ich powstania jest często niepewna, lecz wszystkie szczegóły wskazują na starożytność, zaś nie ulega wątpliwości, że były one wytworem pustelników, którzy zaludniali tę pustynię w trzecim i czwartym wieku po Chrystusie.

Zostawiwszy żonę w hotelu, wybrałem się z pułkownikiem Lewis'em, z armji egipskiej, świetnym towarzyszem i doskonałym przewodnikiem. Przybywszy do małej stacji zastaliśmy tam dziwny pojazd, oczekujący naszego przybycia. Przypominał on powozy, używane w cyrku. Pokazało się, że był to powóz dworski, przygotowany ongiś dla Napoleona III, który miał przybyć w celu otwarcia Kanału Suezkiego. Musiała to być niezła robota, skoro był jeszcze zupełnie możliwym do użycia; jedynie jego złocenia i koronkowe firanki raziły na tle majestatycznej prostoty pustyni Libijskiej.

Wsiadłszy do tego powozu ruszyliśmy naprzód, mając za przewodnika jedynie ślady kół w piasku, które w miejscach bardziej ubitych były prawie niedostrzegalne. Dokoła nas rozpościerała się nieprzemierzona żółta pustynia piasku, zaś w dali za nami widać się wstęga drzew zielonych, znacząca bieg Nilu. Raz ujrzelśmy przed sobą jakiś czarny punkt, który w miarę zbliżania się, przybrał postać krajowca. Doszedłszy do nas, otworzył on czarne, spieczone usta i zawołał: „Moya! Moya!“, co znaczyło: „Wody! Wody!“. Nie mając ze sobą nic do picia, nie mogliśmy ugasić jego pragnienia, lecz wskazaliśmy na widniejącą za nami

zieloną wstęgę, ku której nieszczęsny wędrowiec ruszył, zataczając się.

Niedługo spotkała nas dziwna i niezwykła przygoda; oto nagle niebo zachmurzyło się i zaczął padać deszcz, w tych stronach zjawisko prawie nie znane. Mimo ulewy posuwaliśmy się z wolna naprzód, zaś pułkownik Lewis, który wyzyskiwał każdą sposobność dla wykonania jakiegoś ćwiczenia fizycznego, biegł obok powozu, z trudnością ciągnionego w grzązkim piasku przez parę koni. Pamiętam, że mu powiedziałem, iż nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę jechał przez pustynię Libijską w powozie imperatora z pułkownikiem, biegnącym obok jak niewolnik. Nagle, w gasnącem świetle dnia, nubijski woźnica zsiadł z kozła i zaczął badać grunt, poczem dał znać gestami rąk, że zgubił ślad i że nie wie, gdzie się znajdujemy. Trudność polegała na wskazaniu południa i północy. Położenie było niemiłe, gdyż nie mieliśmy ze sobą ani wody, ani żywności. Noc zapadła szybko; rzuciwszy okiem w górę na przelatującą nad nami mgłą, dojrzałem nagle między chmurami znaną mi konstelację gwiazdną, która wskazywała kierunek północny. Istotnie, udawszy się w tym kierunku, badając grunt co kilkadziesiąt sążni, natrafiliśmy wreszcie na zgubiony ślad.

Przygody nasze nie zakończyły się jednak; przeciwnie, cała ta podróż była na kształt dziwaczного snu. Wymagało wielkiej czujności z naszej strony, by nie zatracić koleiny, więc szliśmy naprzód z latarkami w rękę, za nami zaś posuwał się powóz, trzeszcząc



i grzęznąć. W pewnej chwili ujrzelśmy w oddali światło; przyspieszyliśmy kroku i wkrótce znaleźliśmy koło miotu jakiegoś rudego brodacza, który siedział obok namiotu przy stoliku, na którym rysował coś w świetle lampki. Deszcz przestał padać, lecz niebo było jeszcze zachmurzone. W odpowiedzi na nasze pozdrowienia, człowiek ten odparł mrukliwie, że jest Niemcem, czyniącym pomiary w pustyni. Kiedyśmy mu oznajmili o celu naszej podróży, wskazał ręką kierunek, którego mieliśmy się trzymać i oświadczył, że jesteśmy niedaleko miejsca naszego przeznaczenia. Opuściwszy namiot brodacza, udaliśmy się we wskazanym kierunku, lecz po pewnym czasie straciliśmy znów ślad i posuwaliśmy się naprzód na oślep. Narazie po jakichś dobrych dwóch godzinach ujrzelśmy w oddali migotające światło; niestety, zbliżywszy się, przekonaliśmy się, że był to ten sam namiot, tego samego brodacza, że więc krążyliśmy w kółko. Otrzymawszy nowe wskazówki ruszyliśmy w drogę i tym razem dotarliśmy w określonym czasie szczęśliwie do drewnianej budy, która znaczyła połowę naszej drogi. Posiliwszy się nieco rzuciliśmy się na leżaki i wyczerpani zasnęliśmy szybko.

Ranek wynagrodził wszystkie niepowodzenia poprzedniego dnia. Powietrze było chłodne, rześkie i jasne, napełniające otuchą i poczuciem zdrowia; nawet jednostajny obraz żółtego piasku z czerwonymi skałami, z błękitną kopułą nad nimi, usposabiał rozweselająco. Po kilku godzinach drogi dotarliśmy szczęśliwie

do Natron Lake, wielkiego jeziora słonego, nad którym w jednym miejscu stało kilka rozrzuconych tu i tam domów, w których robotnicy wysuszali sól. O jakieś dwie mile od jeziora stał klasztor, lub raczej pustelnia, cel naszej podróży. Dziś, gdy liczba domków robotniczych nad jeziorem wzrasta, nie jest ten klasztor tak osamotniony, lecz przed powstaniem tej kolonji robotniczej, było to jedno z najmniej dostępnych miejsc. Klasztor otoczony był wysokim wałem zewnętrznym, zbudowanym z trwałej gliny. Nie było tam ani drzwi ani okien, lecz jeden mały otwór, z poza którego można się było łatwo bronić. Kiedyśmy się znaleźli wewnątrz, wyczułem, że wizyta nasza nie sprawia gospodarzom tej siedziby wielkiej przyjemności, lecz wojskowa ranga mego towarzysza budziła widoczny szacunek. Oprowadzono nas dokoła dziedzińca wewnętrznego, gdzie był ogród i drzewa palmowe; z kolei pokazano nam wewnątrz domków pustelniczych, zbudowanych wewnątrz wspomnianego wału. W pobliżu tych domków stała beczka pełna jakiejś substancji, która z wyglądu i kształtu przypominała zaokrąglone kamyczki rzeczne. Zapytałem, czy służyły one do odpierania atakujących Arabów, lecz powiedziano mi, że to zapas placuszków, zastępujących chleb. Pczęstowano nas słodkim winem, w rodzaju tego, które do dziś jeszcze jest używane przy komunji. Przeor tej pustelni zdał mi się bardzo przyzwoitym człowiekiem; ponieważ się uskarżał na dolegliwości fizyczne, zbadalem go bardzo sumiennie i przyrzekłem mu posłać pewne lekarstwo z Cairo. Dotrzymałem później tej

obietnicy, czy jednak przesłane lekarstwa doszły jego rąk, nie wiem. Niektórzy z braciszków wyglądali jak ludzie przeżyci; naogół panowała tam atmosfera niedoświadczenia i lenistwa; czy to moje wrażenie było słuszne, trudno mi zaręczyć. Kiedym z wysokości zewnętrz- nego muru zobaczył pustynię piaskową, jak okiem się- gnać, odniosłem dziwne wrażenie na myśl, że to jest wszystko na co oczy tych ludzi patrzą. Cóż za kon- trast z mojami mnogimi i różnorodnymi wrażeniami i zajęciami! Była tam wprawdzie biblioteka, lecz książ- ki przeważnie stare, zawierające prawdopodobnie cen- ne rzadkości, walały się po ziemi. Od odkrycia „Co- dex Sinaiticus“ wszystkie te koptyckie biblioteki zo- stały zapewne zbadane przez specjalistów, lecz w o- wych czasach można tam było napewno znaleźć nie- jedną cenną rzecz.

Następnego wieczoru byliśmy obaj z powrotem w Cairo. Po drodze nie słyszeliśmy żadnych nowin i najspokojniej w świecie byliśmy zajęci myciem rąk przed obiadem w Klubie Sportowym, kiedy ktoś ze znajomych wszedłszy do umywalni, zawołał:

— Jakto? Pan tutaj, panie pułkowniku? A gdzie pańska brygada?

— Moja brygada? — zapytał Lewis, nie rozumie- jąc o co chodzi.

— Czy pan był może gdzieś poza miastem?

— Tak, nad jeziorem Natron.

— Na Boga! To pan nic nie wie?

— Nie! Co takiego?

— Ależ człowieku, wojna wypowiedziana! Idziemy na Dongolę! Armia koncentruje się wzdłuż granicy, a pan dowodzisz brygadą czołową!

— Tam do diabła! — Mydło wypadło z rąk Lewis'a. Zdawało się, że i on padnie, jak piorunem rażony. Tak dowiedzieliśmy się o nowej przygodzie, która otwierała się przed nami i przed Imperjum Brytyjskiem.

### XIII

#### POD BOKIEM BURZY

Środek burzy. — Na front. — Assonan. — Podniecenie oficerów. Wśród dziennikarzy. — Długa jazda na wielbłądzie. — Pochody nocne. — Halfa. — Gwynne z „Morning Post” — Anley. — Nagła podróż. — Morele i Rousseau.

Jest rzeczą niemożliwą znaleźć się w pobliżu sceny wypadków historycznych bez ochoty wzięcia w nich udziału, lub bodaj przypatrywania się im z bliska. Egipt stał się nagle ośrodkiem burzy światowej a przypadek sprawił, że tam się znalazłem. Oczywiście czułem od pierwszej chwili, że nie zostanę w Cairo, że prawem czy lewem muszę się dostać na front. Był to marzec i niedługo miały nastąpić upały za wielkie dla mojej żony, która jednak oświadczyła gotowość pozostania do kwietnia, pod warunkiem, że postaram się na ten czas wrócić. Sądzone wówczas powszechnie, że lada dzień nastąpi jakiś wielki wypadek; patrząc wstecz trudno dojrzeć na czem się to przekonanie opierało. Bądź jak bądź ja czułem nieprzepartą chęć udania się na południe jak najszybciej.

Jedna tylko droga stała dla mnie otworem. Wszystkie wielkie poranne dzienniki londyńskie miały swych przedstawicieli na miejscu. Lecz dzienniki wieczorowe musiały dopiero się starać o korespondentów. Zatelegrafowałem do „Westminster Gazette” ofiarując tymczasowo bezpłatnie usługi korespondenta. Przesłano mi pomyślną odpowiedź telegraficznie. Uzbrojony tą depeszą udałem się do odpowiednich władz i w ciągu dwóch dni załatwiłem wszystkie formalności.

Drogę na front miałem odbyć sam; trzeba się też było naprędce wyekwipować. Kupiłem jakiś olbrzymi rewolwer wyrobu włoskiego i setkę naboju, tudzież diawnianą flaszkę na wodę, która każdy płyn wlany do wnętrza zaprawiała smakiem terpentyny, tak, że woda w niej zamieniała się w rodzaj politory. Zanim wróciłem z mej wyprawy, nauczyłem się pić każdy płyn, który mógł zwilżyć spragnione i spalone usta.

Zaopatrzony w lekki płaszcz koloru „khaki”, ubrany w rajtuzy i obwieszony zwyczajnym ładunkiem, z małą walizką w ręku, udałem się z Cairo pociągiem do Assiout, gdzie czekał mały statek rzeczny, — pełen oficerów, zdążających na front; w ich towarzystwie spędziłem kilka miłych dni w drodze do Assonan. Było między nimi kilku młodszych oficerów, którzy od tego czasu doczekali się sławy i wysokich godności; był więc Maxwell, obecnie generał Sir John Maxwell i Hickman, tudzież młody porucznik kawalerji, niejaki Smythe, który zdał mi się zbyt delikatnym do wojennego rzemiosła, który jednak niedługo potem został

odznaczony Krzyżem Victorji. Nic nie zwodzi bardziej w zawodzie wojskowym, jak wygląd zewnętrzny. Przekonali się o tem Niemcy, którzy uważali brytyjskich wyspiarzy za „naród wojenny“.

Wielkiem pytaniem na początku kampanji była kwestja wartości bojowej oddziałów krajowców, fellahów. Pięć batalionów murzyńskich, wypróbowanych już dawniej, nie budziło wątpliwości, lecz ośm czy dziewięć egipskich nie dawało tej pewności. Arabowie Sudańscy to fanatycy, którzy rzucają się na wroga z podniesioną włócznią, nie bacząc na kule. Czy Egipcjanie zdołają wytrzymać te szalone ataki? Nie mając co do tego pewności, postanowiono umieścić między nimi bataljony brytyjskie. Oddziały krajowców miały jedną wielką zaletę, mianowicie, że oficerami ich byli najlepsi, doborowi żołnierze brytyjscy. Kitchener nie przyjmował do tej służby żonatyh, gdyż musiała to być służba całą duszą, niemal desperacka, że zaś życie było zajmujące i pełne przygód, zaś płaca bardzo wysoka, więc miał on sam kwiat nowoczesnego rycerstwa. Dziwny przedstawiali oni widok, ze swemi twarzami jasnymi, lnianym wąsem i czerwonymi turbanami na głowach.

Stosunki tych oficerów do podwładnych, im żołnierzy były ojcowskie. Ile razy oficer wojsk krajowych udał się do Cairo, wracał on z kuferkiem pełnym słodyczy i bakalji dla swych ludzi, zwłaszcza o ile ci byli murzynami. Egipcjanie budzili mniej zaufania i sympatji, lecz ich oficerowie byli także wobec nich bardzo lojalni i z niechęcią przyjmowali ogólne niedowierza-

nie, okazywane przez resztę armji. Kiedy w czasie jednej z pierwszych walk, jakiś oficer brytyjski pochwycił chorągiew nieprzyjacielską, zawołał on: „Nie wpadnie ona już w ręce Anglików!” Ten duch dumy i współzawodnictwa nadaje wartość brytyjskiemu oficerowi wojsk krajowych czy to w Egipcie czy w Indjach. Nawet podczas wielkiego buntu w Indjach, nie pozwalali oni czynić zarzutów swym żołnierzom, którzy ich jednak wymordowali.

W Assonan trzymano nas cały tydzień; nikomu nie było wolno posuwać się dalej. I tak byliśmy już w obrębie najazdów Arabskich, które przed rokiem zdarzały się nawet dalej na północy. Pustynia pod tym względem jest jak morze; kto bowiem ma wielbłądy — te statki pustyni — ten może zadać cios gdzie mu się podoba, gdyż wróg spostrzega najeźdźnika dopiero w ostatniej chwili.

Ta możliwość nie niepokoiła zupełnie tego tłumu oficerów, którzy zdali się tak mało myśleć o grożących niebezpieczeństwach, jak gromada turystów w czasie pokoju. A jednak każdy z nich wiedział dobrze, że z ostatniej armji Hicks'a Paszy, która się udała na południe, mało kto powrócił. Raz tylko widziałem ich w podnieceniu. Wróciwszy raz do hotelu, który służył za główną kwaterę, zobaczyłem całą gromadę oficerów, cisnących się koło tablicy, na której wywieszane ogłoszenia i dyskutujących z wielkiem ożywieniem nad wywieszonym tam świeżo telegramem. „Ha! pomyślałem sobie — nareszcie coś zdołało przebić i poruszyć te natury, tak obojętne i nieporuszone. Nic innego tylko Kalif nadciąga z całą swą armją i lada



dzień nastąpi bitwa". Zbliżywszy się do tablicy, przekonałem się, że odnośny telegram donosił o wyniku wiosennej regaty między Oxford i Cambridge.

Mimo to uderzał mnie ich zapał i gorliwość, połączona z dyscypliną. Taki Hickman przez cały czas podróży na statku nie mówił o niczem innym tylko o planie kampanji. Kiedyśmy przybyli do Assonan, czekał nań rozkaz udania się do Kenet dla zakupna wielbłądów. Musiał to być cios dla człowieka, który się rwał na pole walki. — Nic nie szkodzi, — rzekł spokojnie, gdym mu wyraził me współczucie, — oczywiście, musimy mieć wielbłądy, a nikt sprawy tej nie załatwi lepiej niż ja. Ostatecznie wszyscy pracujemy dla jednego. Tego rodzaju samozaparcie jest rzeczą powszechną. Najlepszy typ oficera brytyjskiego jest na prawdę świetnym okazem ludzkim, jest powiększonym wydaniem wychowanka szkoły publicznej, który wszelkie poważne przedsięwzięcie pokrywa żartobliwą, lekką gwara i woli raczej zginać, niż przyznać się do tego. Opowiadano mi o trójce tych młodych oficerów, wykonujących ważną pracę na samym końcu drogi żelaznej, w stanie febry, która nie tylko mogła, lecz powinna ich była zwolnić od wszelkiej pracy. Każdego wieczoru wrzucał każdy z nich dolara do kapelusza, poczem mierzyli temperaturę a ten, który miał najwyższą, zabierał trzy dolary.

Assonan leży u stóp Katarakty, która się ciągnie na jakieś trzydzieści mil, tak, że wszystko musi być wyladowane ze statku, przewiezione na małej, wąskotorowej kolejce i wyladowane na inne statki parowe

w Shellal. Było to olbrzymie zadanie i pamiętam jak współczułem z kapitanem Morganem, który kierował tą ekspedycją. Morgan sprzedał mi przedtem konia i trochę się tego potem wstydził. Rychło jednak przekonał się, że nie mam do niego najmniejszej pretensji. Niech się kupujący pilnuje, gdy kupuje! Już wtedy spostrzegłem w kapitanie Morganie te zdolności organizacyjne, które pozwoliły mu odegrać rolę ważnego czynnika, nie tylko podczas wojny z Burami, lecz i w wielkiej wojnie. Umarł on niedawno (1923) w randze generała, syt chwały i odznaczeń.

Pewnego dnia przybyli nareszcie korespondenci wielkich pism. Po kilku dniach pokumaliśmy się tak, że mnie przyjęli do swego grona i mieliśmy ruszyć razem w dalszą drogę. Było nas razem pięciu, pod wodzą Knight'a, przedstawiciela „Times'a”; był to olbrzym, wysoki i muskularny, którego ulubionym sportem była żegluga na jachtach; słynął on także jako podróżnik, poszukiwacz skarbów, żołnierz i uczonek. Drugim był Sendamore z „Daily News”, mały, zwinny, pełen Celtyckiego temperamentu i humoru. Słynął on jako kupiec wielbłądów, które kupował za pieniądze piąma, tak, że kiedy wydawca „Daily News” dowiedział się o wybuchu wojny z Burami, zauważył przedewszystkiem: „Całe szczęście, że w Południowej Afryce niema wielbłądów”. Obserwować tego człowieka, targującego się o cenę wielbłąda, równało się dobremu studjum psychologii Wschodu. On mnie nauczył jak kupować wielbłąda. Odbywa się to mniej więcej tak: Arab przyprowadza stworzenie, które wygląda jak

wcielenie nedorzeczności. By wyrazić oczyma odpowiednio to mieszane uczucie rozbawienia i pożałowanie jakie wywołuje swą postacią, trzebaby pożyczyc spojżenia oczu tej żalósnej kreatury. Kupujący zapytuje o cenę; właściciel żąda szesnaście funtów. Niedoszły kupiec wydaje okrzyk pogardliwego oburzenia, macha ręką jakby odpędzał i wielbłąda i właściciela, odwraca się i bez słowa zmierza w innym kierunku. Jak daleko należy odejść, to zależy od żądanej ceny. Jeśli cena jest naprawdę wysoka, można wcale nie wracać. Normalnie jednak kupujący i sprzedający wykonują półkole i spotykają się znowu ze zdziwieniem, przyczem właściciel zapytuje, ile ma otrzymać. Odpowiedź brzmi ośm funtów. Z kolei on się oburza i poprzedni proceder powtarza się znowu z tą różnicą, że teraz on pierwszy się oddala. Po powtórzeniu tej sceny kilkakrotnie, ubija się cenę kupna na dwanaście funtów.

Lecz prawdziwy kłopot zaczyna się dopiero po kupieniu wielbłąda, który jest najdziwniejszem i najbardziej fałszywem stworzeniem na ziemi. Zachowuje on zawsze ten sam wyraz spokoju i godności, tak, że trudno nawet na chwilę przypuścić ile niecnego podstępny czai się pod tą maską. Zbliża się to do człowieka z wyrazem lekkiego zainteresowania i wyższości, jak dobrowolna nauczycielka z niedzielnej szkółki. Zda się, że tylko okularów brak. Z kolei wysuwa łagodnie wargi, z niewidzącym spojrzeniem daleko zapatrzonych oczu, wywołując w umyśle człowieka niewypowiedziane słowa: „Pocziwina — chce mnie pocałować“, gdy nagle, ledwie ta myśl zdoła się przemknąć przed oczy-

ma przerażonego widza błyskają dwa rzędy groźnie zielonych zębów, które zwierają się z suchym trzaskiem automatu, zmusiwszy jednak przedtem widza do wykonania możliwie największego uskoku w tył. Od tej chwili trudno sobie wyobrazić coś bardziej demonicznego, jak twarz wielbłądzia, ani łagodność, ani jak najdłuższe codzienne obcowanie, nie zdobędzie jego przyjaźni. Mimo to człowiek ceni to stworzenie, które może zrobić dwadzieścia mil dziennie, objuczone ciężarem sześciuset funtów, żądając po takim dniu tylko lekkiego posiłku bez napoju!

Lecz to tylko dygresja. Pozostali dziennikarze to byli Beaman z pisma „Standard”, który przybył prosto z Konstantynopola, wreszcie Juljan Corbett, korespondent dziennika „Pall Mall”, bardzo miły człowiek, który z czasem miał się stać historykiem morskich walk i bitew w czasie Wielkiej Wojny. Podobnie jak ja, był on wtedy amatorem w zawodzie korespondenta wojennego i miał w oznaczonym czasie wrócić do Cairo.

Ponieważ było rzeczą jasną, że nic ważnego nie może zająć nagle, postanowiliśmy odbyć część naszej dalszej podróży lądem. Oddział kawalerji wyruszył właśnie w drogę na front, więc polecono nam udać się pod jego osłoną; myśmy jednak mieli przekonanie, że nam nie potrzeba takiej eskorty i ruszyliśmy sami. Wprawdzie podróż nasza wzdłuż prawego brzegu rzeki, bez żadnej obrony z lewej strony, przedstawiała pewne niebezpieczeństwo, woleliśmy jednak to ryzyko, od ustawicznych tumanów kurzawy, wzbijanej przez

cwałujący oddział kawalerji. Opuściliśmy Assonan wieczorem, na wielbłądach; za nami szły wielbłądy juczne i spory orszak służby. W cztery lub pięć dni później dotarliśmy do Korosko, gdzieśmy wsiedli na statek, który nas zawiózł na front do miejscowości Wady Halfa; wielbłądy, juki i służba szły ładem.

Nigdy nie zapomnę tych dni, a raczej nocy, gdyż wstawaliśmy o godzinie drugiej rano i najdłuższy marsz odbywaliśmy do czasu pełnego świtu. Dziś jeszcze żyje we mnie pamięć fioletowego nieba, olbrzymich i niezliczonych gwiazd, pół-księżyc, który zwolna płynął ponad nami, podczas gdy nasze wielbłądy, posuwające się bez szelestu, zdały się nieść nas bez wysiłku poprzez ten zaczarowany świat snu. Sendamore miał piękny głos barytonowy, który słyszę dziś jeszcze, jak się wznosi i opada w cichem powietrzu pustyni. Było w tem wszystkim coś z wizji, jakieś cudowne intermezzo życia rzeczywistego, przerwane jedynie niezwykłym czynem z mej strony, mianowicie zlecenia z wielbłąda na ziemię. Zdarzyło mi się nieraz spaść z konia, ale w tym wypadku doświadczyłem czegoś zupełnie nowego. Nie siedzi się na prawdziwym siodle, lecz na kawałku wklęsłej skóry, toteż kiedy mój wierzchowiec rymnął nagle na przednie kolana — bestja zobaczyła coś zielonego na ścieżce — ja machnąłem kozła przez jego łeb i znalazłem się na ziemi, co prawda bez szwanku, lecz nie bez zdziwienia.

Tkwi mi w pamięci kilka innych szczegółów, więc np. obraz jakiegoś jaszczura wodnego, nie krokodyła, leżącego na ławicy piaskowej. Łupnąłem doń z mego

włoskiego rewolweru, który mógł prędzej zranić mnie niż jaszczura i widziałem, jak się płaz zwinął i zniknął w wodzie. Innym razem, gdym ścielił na noc moje posłanie, dojrzałem jakiegoś czarnego płaza z różkami, który węzowym ruchem zniknął mi z oczu; był to najjadownitszy rodzaj żmiji, długiej na jakieś ośmnaście cali. Innego wieczoru weszliśmy do jakiejś zrujnowanej chaty, aby sprawdzić, czy nadałby się na nocleg. W mdłym świetle świecy ujrzelśmy jakieś stworzonko, które ja wziąłem za mysz, biegające w kółko po ziemi. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, wybiegło ono w górę po ścianie, poczem znów zbiegło na ziemię i zatrzymało się kręcąc groźnie w powietrzu przednimi nóżkami w naszą stronę. Ku mojemu przerażeniu Sendamore podskoczył w powietrze i z całej siły zdeptał to stworzenie, zamieniając je na kupę brudnej mazi. Była to prawdziwa tarantula, bardzo jadowna i w tych stronach bardzo pospolita.

Jeszcze inny obraz nasuwa mi się na pamięć bardzo wyraźnie. Z jakiejś przyczyny nie ruszyliśmy w drogę jednej nocy, tak, że wczesny blask zastał nas spoczywających w naszym małym namiocie, wśród kępy drzew palmowych, w pobliżu ścieżki, która się wiała wzdłuż brzegu Nilu. Zbudzony ze snu, leżałem spowity kocem, patrząc przed siebie, gdy nagle ze zdumieniem dojrzałem jeźdźca, posuwającego się tą ścieżką. Był to murzyn nubijski, olbrzymi, dziki, z zapadłymi policzkami, obwieszony mnóstwem srebrnych ozdób. Przez plecy miał przewieszoną długą strzelbę a z boku zwisał miecz. Trudno było sobie wyobrazić

postać bardziej barbarzyńską; był to właśnie typ jednego z tych „Mahdi“, przed którymi nas ostrzegano. Nie lubię czynić alarmu, zwłaszcza, gdy jestem wśród ludzi, którzy są oswojeni z niebezpieczeństwem, udało mi się jednak zbudzić jednego z mych towarzyszy, który zmierzył okiem jeźdźca, mrużąc pod nosem „tam do djabła!“. Lecz ów jeździec minął nas, nie patrząc nawet w stronę naszego legowiska. Mam przekonanie, że był to jeden z krajowców, należących do naszego orszaku, gdyby bowiem było inaczej, los nasz byłby przypięczętowany. Napisałem później nowelę p. t. „The Three Correspondents“ („Trzej Korespondenci“), której pomysł miał swe źródło w tem zdarzeniu.

W Korosko musieliśmy iść na posłuchanie do miejscowego komendanta, Turka z drewnianą twarzą, Jussufa Bey'a, który służył w armji egipskiej. Uraczył on nas malinowym sokiem i odprowadził na statek, który w dwa dni później wysadził nas w Wady Halfa, gdzie panował nastrój podobny do tego, jaki zostawiliśmy w Assonan.

Halfa leży także u stóp Katarakty, tak, że wszystko musiało znów być przewożonem wąską drożyną do Sarras, odległego o jakieś trzydzieści mil. Pierwszego zaraz dnia udałem się na przechadzkę w kierunku najbliższej stacji, skąd się poczynał tor do Sarras. Tam zobaczyłem wysokiego żołnierza, w białej bluzie, który w towarzystwie zwyczajnego ordynansa dozorował ładowania zapasów w wagony. Kiedy zwrócił się twarzą ku mnie, spostrzegłem, że był to sam Kit-chener, głównodowodzący całej armji. Było to chara-

klerystycznym, że nie zostawiał on rzeczy tak żywej jak transport zapasów nikomu z podwładnych, lecz o ile to było możliwem, sam jej doglądał, aby wiedzieć czem rozporządza i na co może liczyć. Dowiedziawszy się kim jestem — spotkaliśmy się poprzednio raz tylko na torze wyścigowym w Cairo — zaprosił mnie do swego namiotu na obiad, podczas którego wynurzał się o nadchodzącej kampanji z wielką szczerością. Pamiętam, że obok mnie siedział szef jego sztabu, Drage, który był tak znużony, że zasypiał między jednym daniem i drugim; pamiętam również, że Kitchener spoglądał nań z uśmiechem rozbawienia. Warto było się męczyć, służąc pod takim przełożonym.

Moją nową znajomością w tych czasach był Herbert Gwynne, który, o ile się nie mylę, był korespondentem dziennika „Chronicle”. Zauważyłem odrazu, że to człowiek dużej przyszłości. Kiedym o nim słyszał następnym razem, był już korespondentem biura Reuter’a, zaś wkrótce po wojnie z Burami został redaktorem „Morning Post”, którym jest po dziś dzień. Zawarta w owych dniach przyjaźń przetrwała lat trzydzieści, choć okoliczności sprawiały, że widujemy się rzadko. Mam nadzieję, że sobie to wynagrodzimy w życiu przyszłym.

Zaprzyjaźniłem się również z oficerem bardzo drobnej postaci, lecz wielkiego męstwa, nazwiskiem Anley, który wstąpił świeżo w szeregi armji egipskiej. Był to początek jego kariery, nie wątpię, że go czeka w przyszłości wysoka ranga, lecz byłbym zdziwiony, gdyby mi ktoś powiedział w jakich warunkach odbędzie się nasze następne spotkanie. Stałem raz jako



prosty ochotnik-szeregowiec na zboczu drogi, kiedy obok naszych szeregów przeszedł jakiś sztabowy oficer, jak się pokazało brygadjer. Kiedy rzucił okiem na nas, stojących na baczność, poznałem, że to był Anley. Lecz i on rozpoznał, gdyż się uśmiechnął i skierował głowę. Nie mając możliwości odpowiedzenia na to pozdrowienie, przymknąłem tylko na moment lewe oko.

Z Halfa udaliśmy się dalej do Sarras, gdzie danem nam było ujrzeć najdalej wysuniętą placówkę cywilizacji, w postaci worów z piaskiem i zasieków pokrytych kolczastym drutem. Lecz widok dalej na południe był bardzo piękny, zwłaszcza oddalone szczyty Dongoli. Niestety dzikość i żądza mordy czaiły się na całej przestrzeni, oddzielającej nas od miejscowości. W tej maleńkiej twierdzy Sarras panowała prawdziwa atmosfera wojny, jeno wroga nie było jeszcze widać.

Co więcej, zapewnił mnie sam Kitchener, że nie mam na co czekać, gdyż dopóki armia nie będzie zaopatrzoną w dziesiątki tysięcy wielbłądów, nie można myśleć o posuwaniu się naprzód. Wobec tego odstąpiłem mego własnego wielbłąda armji i wraz z Corbettem zamyślałem o powrocie do Cairo. Ostrzeżono nas, że powinniśmy sami schwycić pierwszą nadarzoną sposobność, której mógł dostarczyć jeno pusty statek, wracający w dół rzeki po nowy transport. Sposobność taka zdarzyła się jednego poranku. Znalazszy się na pokładzie, dowiedzieliśmy się, że niema żywności i że nie zatrzyma się on, aż po kilku dniach. Nie mając czasu do stracenia, udałem się na brzeg do jedyne go grec-

kiego sklepiku, gdzie jednakowoż zdołałem dostać tylko kilka puszek konserw morelowych. Po powrocie na statek, który już ruszał, zdołaliśmy nabyć od załogi nieco chleba, który wraz z morelami stanowił całe nasze pożywienie przez szereg dni. Objadłem się tych moreli tak, że od tego czasu patrzeć na nie nie mogę. Ich nudna słodycz jest w moim umyśle połączona na zawsze z „Wyznaniami” Rousseau’a, których francuskie wydanie dostało mi się w ręce, stanowiąc jedyną lekturę w drodze powrotnej do Assonan. Wspomnienie tego autora przychodzi mi zawsze na myśl owe morelowe powidła.

Tak się zakończyła nasza wyprawa na front. Byliśmy na progu wojny, lecz progu tego nie danem nam było przekroczyć, ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu i niezadowoleniu. Mimo to, był już koniec kwietnia, kiedy dotarłem do Cairo i upały zaczęły się tak wielkie, że mogły zaszkodzić mej żonie.

W tydzień później byliśmy w Londynie i pamiętam jak dziś, że kiedy w dniu pierwszym maja zasiadłem jako gość na bankiecie „Royal Academy”, zauważyłem na przegubach obu mych rąk małe czerwone wyrzuty, pod którymi gnieździły się i mnożyły drobniutkie owady, które się zaryły w mą skórę, podczas gdy spoczywałem na piaszkowych ławicach Nilu.

## XIV

### PRZEGRYWKA POKOJU

Hindhead. — „Rodney Stone”. — A Duet”. — Dom zaczarowany.  
Dziwne Towarzystwo. — Siły nadnaturalne. — Mały doktor.  
Cień Afryki.

Po powrocie do Anglii dowiedzieliśmy się, że dom, w którym żona miała nadzieję dokończyć kuracji, nie jest jeszcze gotowy. Istotnie był to raczej pałacyk, zamierzony na dużą skalę, więc nic dziwnego, że budowa wymagała czasu. Na razie musieliśmy wynająć dom umeblowany w Saslemere, gdzieśmy mieszkali do wiosny 1897, poczem przenieśliśmy się do pensjonatu w Hindhead, położonego tuż koło naszego budującego się domu, który został wykończony w ciągu lata. Podczas tych kilku miesięcy używałem dużo kornej jazdy, gdyż ta zdrowa, lesista okolica zachęca do przejażdżek. W czerwcu przenieśliśmy się do naszego domu, któremu dałem nazwę „Undershaw”, gdyż stał on w cieniu kępy wielkich, starych drzew.

Nie mówiłem wiele o moich zajęciach literackich w ciągu tych kilku lat, podczas których główną rzeczą była kwestja zdrowia mej żony. Najważniejszą książką, którą napisałem od czasu powieści „The Refugees” („Zbiegowie”) było studjum z czasów Regencji, obfitujących w walki i zapasy. Zapaśnictwo i rycerstwo było zawsze przedmiotem mego zamiłowania, któremu dałem wyraz w rzeczonej książce. W onych czasach boksowanie nie było jeszcze tak popularną formą zapasów jak dziś, — co jak mi powiedziano, jest w dużej mierze wynikiem mojej książki, — i pamiętam zdziwienie z jakim Sir George Newnes zawołał, dowiedziawszy się o temacie nowej powieści: „Ale dla czegoż właśnie ten przedmiot?” Mimo to czytelnicy „Strand’u” byli bardzo zadowoleni z mojego wyboru, a książka cieszy się do dziś dnia powodzeniem, jako obraz owych dawnych czasów. W tych latach napisałem także sporą ilość nowel, zaś w r. 1898 pierwsze studjum na tle życia rodzinnego p.t. „A Duet” (Duet), które było w literaturze próbą tego rodzaju, jak t. zw. „martwa natura” w malarstwie. W połowie był to wytwór wyobraźni, zaś w połowie opierał się na wspomnieniach młodości, tak mojej jak i moich przyjaciół. Ukazanie się tej książki dało pochop do publicznej polemiki z człowiekiem, który zasłynął jako dobry krytyk literacki; był nim Dr. Robertson Nicoll, który wystąpił — zupełnie słusznie — przeciw jednemu ustępowi. Co mi się nie podobało, to fakt, że pisywał on wtedy do jakichś sześciu czy siedmiu pism pod różnymi pseudonimami, skutkiem czego publiczność mogła sądzić, że niemal wszyscy krytycy potępiłi mój utwór,

prdczas, gdy był to tylko głos jednego. Przekonany o swojej krzywdzie, odpowiedziałem z taką gwałtownością, że Nicoll oświadczył, iż nie wie czy ma z kolei odpowiedzieć na łamach pisma czy wezwaniem do sądu. Sprawa jednak ucichła sama a później zawarliśmy wielką przyjaźń. Inną książką z tych czasów była „Uncle Bernac” („Wujaszek Bernac”), z której nigdy nie byłem wielce zadowolony, chociaż mam rzetelne przekonanie, że jej dwa rozdziały dają obraz Napoleona, dają żywszy jego portret, niż niejedno wielkie studjum; jest to rzecz naturalna, gdyż zawierają one samą kwintessencję jakichś dwudziestu książek.

Tyle o mojej pracy literackiej. Gdyby nie choroba mojej żony, mógłbym powiedzieć, że miałem w tych latach wszystko, czego człowiek może zapragnąć. A jednak odczuwałem często niepokój duszy. Czułem, że jest jakiś cel, dla którego przyszedłem na świat, lecz nie mogłem odkryć co mogło być tym celem. Umysł mój zwracał się ustawicznie ku różnym religjom świata. Lecz każda z tych dawnych religji była dla mnie jak strój z czasów chłopięcych. Rozumowałem jeszcze ciągle w myśl zasad materialistycznych. Zapisalem się na członka Stowarzyszenia Racjonalistów, studjowałem sumiennie ich literaturę, lecz była ona zupełnie destruktywną a człowiek nie może żyć samą destrukcją. Pozatem miałem w każdym razie dość wiary w zjawiska psychiczne, by mieć świadomość, że istnieje skala doświadczeń wykraczających poza granicę racjonalnych wyjaśnień, że zatem system ignorujący całą sumę faktów, system wykluczający ich istnienie, składał tem samem dowód swej niedoskona-

łości. Z drugiej strony, mając to przekonanie o istnieniu tych nienormalnych zjawisk, mając świadomość, że jakaś inteligencja — wysoka czy niska — kryła się poza nimi, nie mogłem jednak zrozumieć ich celu i znaczenia. W świadomości mej mieszało się jeszcze stukanie do drzwi z postacią przyjaciela za zewnątrz, dzwonek telefonu z treścią otrzymanej za jego pośrednictwem wiadomości. Czasem był we mnie spokój, rozpaczy, kiedy czułem, że wszystkie konkluzje, do jakich dojść można, muszą być negatywne; lecz wkrótce potem jakiś świeży impuls duszy pobudzał mnie do dalszego szukania. Tak wyciągałem ręce w każdym kierunku, lecz zawsze bez zadowolenia. Mogłem się być łatwo uwolnić od tych wszystkich dusznych niepokojów przez przyłączenie się całym sercem do któregoś z wyznań prawowiernych; lecz na tej drodze narażałem zawsze na opór ze strony prostego rozsądku.

Podczas tych ciągłych wędrówek po obczyźnie, zajmowałem się poważnie kwestjami psychicznymi, czytając wszystko co mogłem otrzymać i organizując od czasu do czasu seanse, które dawały wyniki niezupełnie wprawdzie negatywne, lecz obojętne, zwłaszcza, żeśmy nie mieli do pomocy medjum. Filozofja przedmiotu poczęła się jednak zwolna odsłaniać, stawała się stopniowo przekonaniem, że życie nie tylko trwa po śmierci, w jakieś bardziej wiotkiej powłoce, lecz że warunki z jakimi się ono spotyka w zaświecie są podobne do znanych nam na ziemi. Choć jednak doszedłem do tych przekonań, daleko mi jeszcze było do zdania sobie sprawy z ich żywotności i wagi.

Od czasu do czasu zdarzały się na mej drodze doświadczenia psychiczne, wyłamujące się z pod ogólnej reguły zdarzeń. Pamiętam jedno z nich z czasów, gdy mieszkałem w Norwood w r. 1893. „Towarzystwo Badań psychicznych“ zaprosiło mnie na członka małego komitetu dla zbadania sprawy domu, w którym „straszyło“ we wsi Charmouth koło Dorchester. Udałem się tam w towarzystwie Dra Scott'a i pana Podmore, który często brał udział w podobnych wypadkach. Dostarczony materiał, przedstawiający niedorzeczne hałasy, które uniemożliwiały życie mieszkańcom odnośnego domu, był tak obfity, że przeczytanie go zajęło nam całą drogę z Londynu do Dorchester. Spędziliśmy w tym domu dwie noce. Pierwsza minęła zupełnie spokojnie. Następnego dnia Dr. Scott odjechał, tak, że drugą noc spędzałem z panem Podmore. Przedsiębraliśmy oczywiście wszelkie możliwe środki dla wykrycia ewentualnego oszukańczego podstępu.

Mniej więcej o północy rozległ się przerażający łomot i hałas. Miało się wrażenie, że ktoś wali z całej siły metalową kulą w stół. Nie był to przypadkowy trzask rozsychającego się drzewa, lecz ogłuszający łomot, wywołany szeregiem uderzeń. Wszystkie drzwi stały otworem, więc udaliśmy się szybko do kuchni, skąd hałas wychodził. Nie zobaczyliśmy tam nic — drzwi były pozamykane, okna pozasłaniane, przeciągnięte przez nas uprzednio nici nieprzerwane i nienaruszone. Podmore zabrał świecę i udał się z młodym gospodarzem do pokoju, z któregośmy przyszli, podczas gdy ja zostałem w ciemności, czekając czy rzeczony hałas się nie powtórzy. Lecz się nie powtórzył.

Co było jego powodem, tegośmy się nigdy nie dowiedzieli. Charakter tego hałasu był podobny do wielu, opisywanych przez mieszkańców domów „zaklętych”. Lecz opowiedziany wypadek miał niezwykle zakończenie. W kilka lat później pożar zniszczył ten dom, poczem w ogrodzie wykopano szkielet chłopca, mogącego mieć jakieś dziesięć lat. Podaję ten szczegół z upoważnienia krewnego rodziny, która zajmowała ów dom przed pożarem. Przypuszczano, że dziecko to zostało w tym domu zamordowane i że zjawisko, któreśmy sprawdzili, musiało być następstwem tej tragedji. Ictnieje np. teoria, która głosi, że młode życie przecięte nagle w sposób nienaturalny, pozostawia po sobie zapas nieużytej żywotności, która się stopniowo zużywa w dziwny sposób. Ze wszystkich stron otacza nas nieznaną cudowność, w nieokreślonych i zmiennych kształtach, ostrzegając nas w granicach tego, co nazywamy materją, tudzież w potrzebie duchowości, jeśli chcemy utrzymywać kontakt z prawdziwymi wewnętrznymi faktami życia.

Nie proszono mnie o sprawozdanie z tego zdarzenia; złożył je Podmore, który uczynił młodego gospodarza odpowiedzialnym za ów hałas, jakkolwiek towarzyszył on nam przez cały czas naszego czuwania. Oczywiście mógł mieć współnika, lecz udowodnienie tego było zupełnie niemożliwe. Wypadek ten pouczył mnie jeszcze raz, że jakkolwiek wszystkie zapewnienia w dziedzinie tych zjawisk należy przyjmować krytycznie, niemniej krytycznie należy się zachowywać wobec zaprzeczeń a zwłaszcza wobec tak zwanych wy-



krytych oszustw. Poddawałem często sumiennym badaniom te rzekome oszustwa i stwierdziłem, że ich wykrycie było poprostu albo osobistem uprzedzeniem, albo niedostateczną znajomością praw psychicznych.

Przypomina mi to inne zdarzenie, które zaszło około r. 1898. Niedaleko ode mnie mieszkał lekarz z małą bardzo praktyką, który z powodu drobnej postaci miał przydomek małego doktora. Będę go tu nazywał Brown. Był on badaczem okultyzmu i jak się dowiedziałem, posiadał w swym domu pokój przeznaczony dla celów mistycznych i filozoficznych, do którego prócz niego nikt nie miał dostępu. Usłyszawszy, że się interesuję tymi sprawami, Dr. Brown zaproponował mi pewnego dnia przystąpienie do tajnego towarzystwa studentów ezoterycznych. Zaproszenie to poprzedziła rozmowa, która toczyła się mniej więcej w ten sposób:

— Co mi z tego przyjdzie?

— Z czasem może pan uzyskać pewne władze.

— Jakie władze?

— Władze z rodzaju tych, które ludzie nazywają nadnaturalnymi. Oczywiście są one zupełnie naturalne, lecz można je uzyskać tylko przez poznanie głębszych sił przyrody.

— Jeśli władze te są pożyteczne, dlaczegoż nie dać ich poznać każdemu?

— W nieodpowiednich rękach mogłoby się stać narzędziem wielkich nadużyć.

— Czyż można temu zapobiedz, by się nie dostały w ręce nieodpowiednie?

— Tak, przez dokładne zbadanie naszych kandydatów.

— Czy i ja byłbym poddany badaniu?

— Oczywiście.

— Przez kogo?

— Przez pewnych ludzi w Londynie.

— Musiałbym się tam stawić?

— Nie, nie, badanie odbyłoby się bez pańskiej obecności.

— A potem?

— Zacząłby pan studja.

— Czego?

— Musiałby pan nauczyć się na pamięć wielkiej części materiału. To byłoby pierwsze zadanie.

— Jeśli materiał ten jest ogłoszony drukiem, dlaczego goź nie uczynić go własnością publiczną?

— On nie jest ogłoszony drukiem, jest w rękopisie. Każdy rękopis jest numerowany i powierzony przyjętemu nowicjuszowi, który ręczy zań honorem. Nie mieliśmy jeszcze wypadku sprzeniewierzenia się.

— Ha, — zakończyłem, — wszystko to jest bardzo interesujące; niech pan robi w dalszym ciągu to, co pan uważa za swój obowiązek.

W jakiś czas później — może w tydzień — zbudziłem się wczesnym rankiem z bardzo niezwykłym uczuciem. Nie była to ani zmora, ani żadne senne przywidzenie. Było to coś całkiem odmiennego, gdyż trwało po mem przebudzeniu się. Wrażenie to mogę opisać tylko słowami, iż czułem, jakby coś szumiało w całym

mojem ciele. Nie było to bolesne, lecz przejmujące i nie miłe, coś w rodzaju lekkiego wstrząsu prądem elektrycznym. Dziwna rzecz, że mi zaraz przyszedł na myśl mały doktor.

W kilka dni potem odwiedził mnie on. „Został pan zbadany z dodatnim wynikiem” oznajmił mi z uśmiechem. „Teraz musi pan oznajmić stanowczo, czy pan chce do nas się przyłączyć czy nie. Ostrzegam, że nie można tej rzeczy rozpocząć a potem rzucić. Jest to sprawa poważna i albo trzeba się trzymać od niej zdala, albo oddać całkowicie”.

Przyznawałem mu rację, że sprawa istotnie jest poważna, że przy nawale moich zajęć, trudnoby mi było znaleźć dla niej czas. Powiedziałem, co myślę; gość przyjął mą odpowiedź jako rzecz naturalną. „Doskonałe, — oświadczył — nie będziemy o tem więcej mówić, chyba, żeby Pan zmienił swą postawę”.

Lecz nie tu koniec tej historii. W jakiś miesiąc później, podczas ulewnego deszczu odwiedził mnie doktor Brown, przyprowadzając ze sobą innego lekarza, którego nazwisko znałem, gdyż był on znanym badaczem strefy tropikalnej. Siedzieli przy kominku w mej pracowni i rozmawiali. Zauważyłem wkrótce, że znany podróżnik odnosił się z wielkim szacunkiem do tego małego lekarza wiejskiego, mimo, że ten ostatni był znacznie młodszy.

— To jeden z moich nowicjuszów, — rzekł Brown, jakby tłumacząc mi zauważony fakt, poczem zwracając się do swego nowicjusza, oświadczył: „Wie pan, że Doyle omal się do nas nie przyłączył”. Zagadnięty spojrział na mnie z zainteresowaniem, poczem obaj

rozpoczęli rozmowę, która dla mnie brzmiała jak rozmowa dwóch warjatów. Jeden zwłaszcza frazes utkwił mi w pamięci.

„Kiedy pan mnie zabrał pierwszy raz w górę”, mówił nowicjusz. „i kiedyśmy się unosili nad miastem Środkowej Afryki, w którym jakiś czas żyłem, poraz pierwszy zobaczyłem wyspy na jeziorze. Zawsze wiedziałem, że one tam są, lecz były one za daleko, by je dojrzeć od brzegu. Czyż to nie nadzwyczajne, że zobaczyłem je poraz pierwszy, żyjąc w Anglii?”

„Tak”, rzekł Brown, paląc fajkę i patrząc w ogień, „niezłeśmy się bawili w owych czasach. Pamięta pan, jak się pan śmiał, gdyśmy zrobili małą łódź parową, w której płynęliśmy wzdłuż górnych krawędzi chmur?”

Inna uwaga brzmiała jeszcze niezwyklej. „Spisek dla wywarcia wrażenia na prostaku” pomyśli sceptyk. Może być, lecz mnie się zdaje, że otarłem się w tym wypadku o coś tajemniczego, o jedną z tych tajemnic, których lepiej unikać. To nie był ani spiritualizm, ani teozofja, lecz wiedza nabywania władz uszpionych i utajonych w człowieku, nabywania tych władz rzekomym sposobem starych gnostyków lub nowożytnych fakirów indyjskich, których tak trudno odróżnić od szarlatanów. Jednej rzeczy jestem zupełnie pewny, mianowicie, że moralność i etyka winny iść krok w krok z wiedzą, inaczej jest wszystko stracone. Ludożercy Maorysków posiadali władze psychiczne, które im nie przeszkadzały być ludożercami. Etyka chrześcijańska nigdy nie straci swego miejsca, nawet przy największej

ekspansji naszych władz psychicznych. Lecz teologia chrześcijańska może je stracić i napewno straci.

Wracając do małego doktora, muszę tu dodać że spotkałem go powtórnie w Portland, w stanie Oregon, w r. 1923, zajętego jak poprzednio wiedzą ezoteryczną. Z tego, com słyszał, wnoszę, że władza towarzysztwa, do którego należał, polegała między innymi na rozluźnianiu t. zw. ciała eterycznego, na wzywaniu eterycznych ciał innych osobników, na wytwarzaniu obrazów myśli (łódź parowa), które podobno jest możliwe przy odpowiednim napięciu siły woli. Lecz ta dziedzina filozofji i rozwoju nie pociąga mnie zupełnie. Mnie się zdaje, że należał on do jednej z sekt Różokrzyżowców.

Naogół życie moje płynęło wówczas spokojnie. Żona moja trzymała się dzielnie tak zimą jak latem. Dzieci, Mary i Kingsley, przechodziły najmiłsze okresy rozwoju człowieczego i były źródłem wielkiej naszej szczęśliwości. Dokoła nas roztaczał się piękny krajobraz. Życie me upływało na pracy, przeplatanej sportem. Podobnie było z życiem całego społeczeństwa. Były to lata zamożności i powodzenia. Lecz Afryka Południowa rzuciła już swój cień na Anglię; zanim ten cień zniknął, zaćmił on życie tysięcy jednostek, między którymi i ja się znalazłem. Miałem dla Burów wysoki szacunek; obawą przejmowała mnie ich wojowniczość, niedostępność ich siedzib i ich teutońska wytrzymałość. Przewidywałem, że będzie to wróg niebezpieczny i ze zgrozą śledziłem bieg wypadków, który od ataku Jamesona zmierzał otwarcie do wojny.

Kiedy nareszcie wojna wybuchła, kiedy ogrom zadania stał się jasny, uczułem rodzaj ulgi. A jednak niewielu ludzi zdawało sobie wtedy sprawę, jak ciężkie czekało nas zadanie.

W przededniu wojny, przewodniczyłem na bankiecie, wydanym na cześć Lorda Wolseley'a przez Klub Autorów; w przemówieniu swem wyraził się on, że możemy wysłać do Afryki dwie dywizje. Na drugi dzień pisma zastanawiały się, czy uda nam się zebrać taką siłę i czy jest ona naprawdę konieczna. Cóżby one powiedziały, gdyby ktoś oświadczył, że trzeba będzie dla odniesienia zwycięstwa wystawić ćwierć-miljonową armję, złożoną przeważnie z kawalerji? Ktokolwiek miał jakie takie pojęcie o południowej Afryce, tego początkowe zwycięstwa Burów nie dziwiły; ci ludzie stopniowo obudzili w Anglji świadomość powszechną, że jeśli Imperjum ma wrócić do zdrowia, to należy chwycić za szablę, nie zaś za szklanę.

## XV

### WYJAZD DO AFRYKI POŁUDNIOWEJ

Tydzień klęski. — Wstępuję do armji. — Szpital Langmana. — Podróż. — Bloem fontein. — Sir Claude de Crespigny. — Epidemja. — Marsz ku Wodociągom.

Tydzień między 10 i 17 grudnia 1899 był tygodniem klęski dla Anglii. W ciągu tego tygodnia General Gatacre przegrał bitwę pod Stormberg, Lord Methuen został pokonany pod Magersfontein a General Buller poniósł klęskę pod Colenso. Te wszystkie trzy bitwy razem stanowiłyby tylko małą potyczkę w ostatniej wojnie europejskiej, lecz w owych czasach każda z nich była istotnie złowróżbną klęską. Pod ich wpływem poczęły się na kontynencie groźne ruchy; obiegały pogłoski o koalicji. Szczęściem dla nas nie było jeszcze floty niemieckiej, tak, że nasza flota mogła się poruszać swobodnie; gdyby nie to, mielibyśmy napewno jakiegoś Lafayette'a w Afryce Południowej, któryby sprawił nowe Yorktown. I tak było niedobrze; to też naród szybko stanął w pogotowiu, gdyż każdy chciał spełnić swoją powinność. Nic też dziwnego, że

pewnego dnia znalazłem się na przedmieściu Londynu Honuslow, celem zapisania się do pułku Obrony Krajowej w Middlesex. W pułku tym miałem kilku przyjaciół, stąd mój wybór.

Pułkownik, żołnierz osiwiwały, siedział za prostym stołem w pokoju dyżurnym i szybko załatwiał ochotników, których długi sznur czekał na dworze. Nie wiedział on kim jestem, lecz zobaczywszy przed sobą człowieka 40-letniego, zaznaczył, że nie zamierzam zapewne być zwyczajnym szeregowcem. Odpowiedziałem, że mogę przyjąć stopień oficerski. Zapytał mnie, czy potrafię jeździć konno i strzelać. Odparłem że potrafię, choć nie celuję w żadnej z tych sztuk. Z kolei zapytał mnie, czym służył w armji. Odpowiedziałem, że odbyłem kilka wypraw awanturnych i widziałem trochę przygotowań do kampanji w Sudanie. Było to jedno z tych dwu kłamstw, które są dopuszczalne w kodeksie honorowym dżentelmena, mianowicie, gdy chodzi o cześć kobiety, lub o wzięcie udziału w walce o słuszną sprawę.

Mimo to pułkownik umieścił tylko me nazwisko na liście bez żadnej decyzji; wróciłem do domu nieco przygnębiony i niepewny, co mi wypada dalej czynić. Lecz nie długo otrzymałem propozycję, która dawała mi sposobność udania się na plac boju w charakterze zapewne mniej interesującym, lecz bardziej odpowiednim dla mego wieku i kwalifikacji. Zrobił ją John Langman, którego syna Archibalda znałem dobrze



podczas pobytu w Davos. Langman wyprawiał na własny koszt szpital na pięćdziesiąt łóżek; zgodził on już był kilku chirurgów; administrację szpitala miał w swych rękach Archibald. Langman zwrócił się do mnie z prośbą, abym się zajął doborem reszty personelu i wykonywał ogólną kontrolę nad całym przedsięwzięciem, lecz nie oficjalnie. Przyjąłem tę propozycję i spędziłem cały tydzień w jego domu przy Stanhope Terrace, dobierając odpowiednich członków personelu z pośród mnóstwa zgłaszających się kandydatów. Dobór mój okazał się na ogół trafny. Pozostawało oczywiście wiele do zrobienia; w ciągu tych przygotowań otrzymałem wezwanie do pułku Obrony Krajowej, lecz nie skorzystałem z niego, gdyż już byłem całkowicie pochłonięty sprawą szpitala Langmana.

Dopełniwszy kompletu, uznałem, że szpital nasz stanowi wcale pokaźną całość, której jedynym słabym punktem było kierownictwo, spoczywające w rękach D. ra O'Callaghana, przyjaciela osobistego Langmana, który był świetnym ginekologiem, a więc specjalistą, którego usługi były mniej pożądane na polu bitwy. Był on przytem człowiekiem zbyt nawykłym do wygodnego życia domowego, tak, że trudno mu się było dostosować przy całym wysiłku woli do warunków życia obozowego. Przyznał to sam po krótkim pobycie w Afryce i wrócił do Anglii. Z obowiązku musieliśmy mieć także dyrektora wojskowego, któryby był rodzajem pośrednika między kierownictwem szpitala i Ministerstwem Wojny; był nim niejaki major Drury, zabawny Irlandczyk, który, zdało się, zstał prosto z kart

powieści Lever'a. Wystąpić ze służby i „ożenić się z bogatą wdową z suchotami” było szczytem jego ambicji. W życiu towarzyskiem był on niesłychanie miłym towarzyszem, lecz w wypełnianiu obowiązków wymagających zarówno taktu jak rutyny, był on zbyt celtyckich narowów, co doprowadzało czasem do scysji i zataigów w których ja musiałem popierać punkt widzenia Langmana. Nie wątpię, że uważał mnie za nieużytego uparciucha, a ja jego naodwrot za —, lecz „de mortuis nihil — nisi bene”, — więc przechowuję jego pamięć, jako zabawnego towarzysza.

Podwładnymi O'Callaghan'a i Drury'ego byli dwaj doskonali chirurdzy, Charles Gibbs i Sharlieb, którego matka była słynną lekarką dyplomowaną. Obok nich byli dozorczy, kucharze, zawiadowcy, szafarze, wreszcie jakichś piętnastu lub dwudziestu dyżurnej służby. Razem liczyliśmy pięćdziesiąt osób, wyekwipowanych doskonale dzięki szczodroliwości Langmana.

Upłynęło jakieś dwa miesiące, zanim mogliśmy wyruszyć w drogę; z tego czasu pamiętam dobrze następujące zabawne zajście. Poświęciłem sporo czasu na teoretyczne rozwiązanie pytania, jak najskuteczniej atakować ludzi, leżących za sztuczną zasłoną. Doszedłem do wniosku, że strzelanie do nich wprost było bezcelowem, gdyż o ile zasłona była dostateczna, kule nie mogły ich dosięgnąć. Gdyby jednak było możliwem zamienić strzelbę na ręczną armatkę i wysyłać z niej kule jak z armaty, z tą samą mniej więcej dokładnością w granicach danej przestrzeni, wtedy przestrzeń

ta nie zapewniałaby bezpieczeństwa. Gdyby np. dana poczyjca wynosiła 20.000 sążni kwadratowych, a 20.000 takich strzelb wysyłało na nią kule, każdy sążeń kwadratowy prędzej czy później otrzymałby swoją kulę, mówiąc inaczej swego trupa lub rannego. Bezwiednie myślałem właściwie o karabinie maszynowym, w formie, w jakiej poczęto go używać w wielkiej wojnie. Zasada moja była zupełnie słuszna, mimo, iż dotąd nie zastosowano jej w całej ścisłości. Napisałem specjalny artykuł na ten temat, który „Times” drukował, lecz o ile mi wiadomo, nie wydał on dotąd rezultatów.

Na razie głowiłem się nad pytaniem, jak zamienić strzelbę w małą haubicę. Po licznych próbach i doświadczeniach, przekonałem się, że lekka kula wzbijała się tak wysoko, iż wymykała się z pod wszelkiej kontoli. Na dalsze doświadczenia brakło mi jednak czasu mam jednak przekonanie, że bardziej szczegółowe wypracowanie mego pomysłu, mogłoby osiągnąć strzał konwergujący, któryby był oczyścił Afrykę Południową z włóchni wroga.

Mając wrażenie, że pomysł mój jest praktyczny i że odpowiada wielkiej potrzebie, posłałem jego szczegóły do Ministerstwa Wojny, które mi w odpowiedzi przysłało list następujący:

Ministerstwo Wojny  
16 Lutego, 1900.

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na list pański, w sprawie pańskiego pomysłu, pan Minister Wojny polecił mi oświadczyć,

że dalszą korespondencję na ten temat uważa za zbędną.

Z poważaniem

(Podpis nieczytelny) ' "

Generalny Dyrektor Służbowy

List ten wykluczał oczywiście wszelką sposobność objaśnienia i sprawdzenia mego pomysłu, który mógł być równie dobrze niedorzecznym, jak epokowym. W związku z tem zauważyłem w „Times'ie“: „Nic dziwnego, że wszystkie ostatnie wynalazki są własnością naszych wrogów, skoro ci, którzy starają się udoskonalić naszą broń, nie spotykają się wcale z zachętą“.

Podczas Wielkiej Wojny postępowano zgodnie z tą tradycją, gdyż Pomeroy, wynalazca kul zapalnych, które niszczyły Zeppeliny, chciał z rozpaczy wracać do Nowej Zelandji i dopiero, gdy pierwsze kule sporządzone za pieniądze prywatne, okazały się skutecznymi, wykazując olbrzymią wartość wynalazku, Ministerstwo Wojny zgodziło się go przyjąć.

Wreszcie nadszedł czas naszego wyjazdu. Żonę wyprawiłem do Neapolu, w nadziei, że łagodny klimat tamtejszy dokończy dzieła kuracji. Wszystkie swoje sprawy załatwiłem, tudzież ustaliłem warunki meej wyprawy. Za usługi me nie żądałem żadnej zapłaty, co więcej, oddałem do posług ogólnych mego lokaja człowieka wielkiej inteligencji, którego w dalszym ciągu sam opłacałem. W ten sposób zachowywałem swą niezależność i mogłem wrócić według potrzeby i uzna-

nia własnego, co — jak się pokazało — miało mieć dla mnie wielką wartość.

Stary Książę Cambridge zlustrował nas w jakiejś londyńskiej hali. Przy tej sposobności padłem znowu ofiarą jednego z tych dziwnych zdarzeń, które powtarzały się w mem życiu częściej, niż w życiu innych. Staliśmy na baczność w naszych nowych mundurach, barwy „khaki“ i tropikalnych hełmach, kiedy zbliżała się chwila inspekcji przez członka rodziny królewskiej. Gdyby nam kazano ustawić się w czwórki, nastąpiłoby zapewne ogólne pomieszanie; na szczęście pozwolono nam zostać w dwóch linjach. Ja stałem w linii frontowej, u jej prawego końca. Z oczyma sztywnie utkwionemi przed siebie, zdałem sobie jednak rychło sprawę, że inspekcja ma się zacząć od mojego końca. Nagle książę zatrzymał się naprzeciw mnie, otoczony świtą i stał bez ruchu. Pozostałem w postawie wyprostowanej sztywnie, z oczyma utkwionemi w przestrzeń obok jego postaci, która stała również nieporuszona, tak blisko mnie, że czułem na twarzy oddech. — Co takiego, u diabła? — pomyślałem, nie drgnąwszy jednak wcale. — Co to jest? — zapytał nagle książę, zaczem głośniejsz — Co to jest? — wreszcie z rodzajem zdumienia — Cóż to jest? — Nie poruszyłem się wcale, lecz jeden z dziennikarzy, których grupa stała po mojej prawej stronie, wybuchnął nagle stłumionym śmiechem. W otoczeniu księcia poczęły się jakieś szeptki i wyjaśnienia, poczem zabawny staruszek podreptał dalej. Czyż jednak można sobie wyobrazić bardziej komicz-

ny moment jak ta scena, w której z jednej strony bohaterem jest ochotnik, mający po raz pierwszy mundur wojskowy na sobie, a z drugiej były naczelną wódz armii brytyjskiej i bliski krewny królowej?

Pokazało się, że przyczyną zaniepokojenia staro księcia, który miał wtedy blisko 80 lat, był brak jakichkolwiek inicjałów na guzikach bluzki, rzecz w armji niebywała. Bodaj jakiś emblemat, w rodzaju gwiazdy lub korony, byłby staruszka zaspokoił, lecz nie mógł on znieść widoku guzików bez jakiegoś znaczka. Podobnym pedantem w dziedzinie stroju żołnierskiego był król Edward. Opowiadał mi jeden z moich przyjaciół, że na balu w Indjach, na którym obecnym był Król Edward, adjutant tego ostatniego, zbliżył się doń w stanie wielkiego podniecenia ze słowami: — Jego Królewska Wysokość polecił mi zwrócić uwagę... poczem wymienił jakąś wadę w stroju dworskim mego przyjaciela, który odparł: — Nie zaniedbam zwrócić uwagę memu krawcowi. — Mojem zdaniem był to bardzo taktowny sposób sprowadzenia kwestji do jej właściwej miary.

Wróćmy jednak do inspekcji. Po pewnym czasie kazano nam wszystkim, którzyśmy mieli stopnie oficerskie, wystąpić z szeregu i ustawić się na froncie dla osobistej prezentacji, podczas której ksiązę wynagrodził mi poprzednią scenę wyrazami pochwały dla mej żołnierskiej postawy, której nawet naganne guziki nie zepsuły. Cały ten dzień staruszek był w ciągłym podnieceniu, gdyż podczas śniadania w hotelu Claridge'a zapaliły się firanki, wywołując wielkie zamieszanie,

zaś później wygłosił on mowę, pełną niedyskrecji, w której między innymi powiedział: — Usunięto mnie rzekomo dlatego, że jestem za stary, lecz mimo mojego wieku nie jestem takim durniem, jak mój następca, który... Tu zaczął wymieniać szereg rzekomych błędów lorda Wolseley'a. Litując się nad wiekiem zasłużonego starszaka, prasa mowy tej nie podała do publicznej wiadomości.

Opuściliśmy brzegi Anglii 28 lutego 1900, w Tilbury, na wynajętym statku przewozowym „Oriental”, który wiozł także szereg zaciągów a w Queenstown wziął na pokład Królewską Milicję Szkoeką, przyczem jakaś hałaśliwa Irlandka rzuciła biały ręcznik na pokład, wołając: — Może wam się na coś przyda! Ci Szkoci, którymi dowodziło kilku obszarników dziedzicznych, jak lord Henry Scott, lord Tewkesbury, lord Newport i lord Brackley, okazali się materiałem bardzo trudnym do utrzymania w ryzach. Ogólną komendę nad nami wszystkimi miał pułkownik Garstin, z pułku Middlesex. Monotonję trzytygodniowej podróży, przerywały tylko takie chwile, jak postój w Cape de Verdes, gdzie odbyły się pewne popisy sportowe, jak mój odczyt o wojnie, wygłoszony na pokładzie do całej załogi, w świetle księżyca tropikalnego, jak wreszcie dobrowolne szczepienie, które mojem zdaniem powinno być obowiązkowem, gdyż ocaliło ono niejedno życie a może i moje między innymi. Wielka Wojna wykazała ostatecznie skuteczność tego zabiegu. W południowej Afryce zginęło więcej ludzi od chorób niż od kul i smutno się robi, myśląc, ile życia można było oszczę-

dzieć przez szybsze zastosowanie odkrycia Almoth'a Wright'a. Brat jego, pamiętam, był na pokładzie w oddziale saperów i rozchorował się bardzo ciężko; wszyscy byliśmy mniej lub więcej chorzy, gdyż właściwa doza szczepionki nie była jeszcze ustalona.

Wieczorem 21 marca przybyliśmy do Capetown; zatoka była pełna okrętów. Stało tam na kotwicy około pięćdziesięciu parowców, niemal wszystkie puste. Niektórzy z nas udali się na brzeg, lecz mieliśmy kłopot z powrotem na okręt, gdyż nadeszła ogromna fala przyływu. Następny dzień spędziłem na lądzie, rozłożywszy się kwaterą w hotelu Monnt Nelson. Hotel ten był pełen przeróżnej mieszaniny ludzkiej, rannych oficerów, awanturnic i kosmopolitycznych osobników. Kitchener przybył tam wkrótce i oczyścił tę gospodę z niepożądanych żywiołów, gdyż szczególnie te syreny wprowadzały demoralizację do szeregów armji.

Ogólne wiadomości z pola wojny były dobre. Toczyła się walka o Paardeburg, Lord Roberts przedarł się do Bloemfontein a Kimberley otrzymało odsiecz ze strony generała Frencha, którego natychmiastowy powrót, dla odciążenia Cronje, był jednym z najświetniejszych epizodów całej wojny. Pocięchą było stwierdzenie faktu, że wielkie oddziały Burów wpadały w nasze ręce, gdyż ich długie powodzenie podczas pierwszego okresu wojny, kiedy znajdowali się w bardzo sprzyjających warunkach, oddziaływało ujemnie na nastrój w Anglii i wytwarzało pewną legendarną, zgoła fałszywą atmosferę.

Ponieważ w Londynie powierzył mi ktoś pewną



sumę pieniężną na cele dobroczynne, udałem się do obozu jeńców, z myślą udzielenia im jakiejś pomocy. Obóz ten był na torze wyścigowym, opasanym drutem kolczastym; jeńcy przedstawiali obdartą i brudną ciżbę, lecz jednocześnie umieli oni zachować godność i postawę ludzi wolnych. Było tam kilka twarzy dzikich i okrutnych, zwłaszcza wśród mieszkańców rasy białej i czarnej, lecz naogół były to typy męskie w całym tego słowa znaczeniu. Było między nimi wielu, których włosy przypominały lwie grzywy. Z kolei udałem się do namiotu chorych. Kilku siedziało po kątach w ponurem milczeniu, zaś jeden miotał się w jakimś delirium, plotąc przytem bez sensu, co wywoływało na usta innych wymuszony, nieszczerzy śmiech. W jednym rogu siedział człowiek ciemnej cery i bardzo dumnego wejrzenia, który złożył poważnie uprzejmy ukłon, dziękując za wręczone papierosy. Jeśli się nie mylę, musiał to być jakiś potomek Hugenotów.

Mniej więcej w tydzień, 26 marca, przyszedł rozkaz opuszczenia Capetown; w dwa dni później dotarliśmy do East London, gdzieśmy wysiedli na ląd; tam ku memu wielkiemu zdziwieniu spotkałem Leona Trevor'a, słynnego aktora - amatora, który pełnił służbę oficera pilnującego transportu. Mimo jego wysiłków, nasz materiał szpitalny został podzielony na dwie części, z których każdą władowano na inny pociąg, tak, że gdyśmy dotarli do Bloemfontein po kilku dniach podróży, nie mogliśmy się doszukać jednej części, która poprostu utonąła w stosach transportu. Nigdy nie zapomnę niektórych nocy tej podróży, kiedy olbrzymi

pociąg gwał z hukiem wśród ciemności, rozświetlanej tylko ogniami, płonącemi wzdłuż toru kolejowego; na tle tych ognisk majaczyły sylwety czarnych postaci, wołających — Kto jedzie?!, na co z wagonów odpowiadano gromko „Kamerończycy“, gdyż jechaliśmy w towarzystwie tego słynnego pułku. Cudowną jest atmosfera wojny. Kiedy nastanie wieczny pokój, świat zyska wiele, lecz straci źródło jedynych w swoim rodzaju wrażeń.

Płaskowyż Afryki południowej, zwany „veldt“, przedstawia dziwny i niezwykle widok; przeważnie ścielą się olbrzymie równiny z pagórkami o płaskich szczytach, które są pozostałością jakiegoś nieznanego momentu geologicznego. Równiny te są tak jałowe jak pastwiska, że nie mogą być bardzo zaludnione. Małe, białe farmy, każda ze swym gajem eukaliptusowym i swoją groblą, są rozrzucone tu i owdzie. Kiedyśmy przekroczyli granicę Wolnego Państwa (Free State) przez most tymczasowy, na przedce sklecony obok ruin dawnego, zauważyliśmy, że z wielu tych małych domów powiewały białe chorągiewki. Wszyscy byli w dobrem usposobieniu, mieszczanie i żołnierze, dopiero późniejsza walka podjazdowa zmieniła to wszystko.

Drugiego kwietnia, o jakiejś piątej popołudniu, przybyliśmy nareszcie do stolicy Wolnego Państwa; wyznaczono nam miejsce poza miastem, na ogromnem błoniu, pokrytem wszelkiego rodzaju namiotami i zagrodami dla zwierząt. Mówiono, że w pobliżu czał się znaczna siła Burów, którzy przed kilku dniami odcięli pod Sanna Post jedną naszą kolumnę. Jakiś oddział

wychodził właśnie z miasta, więc postanowiłem się wybrać pod jego osłoną, pospołu z Gwynne'm, którego poznałem w Egipcie i słynnym podróżnikiem Claude de Crespigny; konia użyczył mi jakiś artylerzysta i ruszyliśmy w nadziei, że coś zobaczymy. Niestety zawiodła nas nadzieja, gdyż Burowie umieją się chować, gdy się ich szuka i pokazywać się, gdy się ich nie szuka. Tak więc, prócz dobrej kompanji, trzeba było wracać z niczem. Lecz dobra kompanja to wielka pociecha na terenie wojny. Na jej brak nie mogłem narzekać, gdyż spotkałem wielu starych i dobrych znajomych, dziennikarzy, lekarzy i wojskowych. Biedak Knight, zraniony w jednej z pierwszych bitew, leczył się jeszcze w szpitalu; lecz miłą i dzielną grupę stanowili Julian Ralph, stary korespondent amerykański, Bennett Burleigh, który pamiętał niejedną kampanję, mały Melton Prior, który wyglądał jak typowy dyrektor szkolny, czarnooki Donohne z pisma „Chronicle”, Paterson z Australji i wielu innych. Lecz nie wiele miałem czasu na korzystanie z ich towarzystwa, gdyż zaraz po przybyciu, odnalazłem ku mej radości zaginioną część naszych przyborów i materiału, więc zwołałem mych ludzi i pracowaliśmy cały dzień, tak, że pod wieczór nasz szpital był gotowy na przyjęcie chorych i rannych, którzy poczęli napływać w dwa dni później. Zaczęła się ciężka praca.

Obozowisko nasze rozbiliśmy na błoniu, w którego środku był piękny pawilon, przeznaczony dla najciężej rannych. Wokół tego pawilonu wznieśliśmy wkrótce szereg namiotów, gdyż mieliśmy poddostatkiem mater-

jału, tak, że zbudowaliśmy nawet rodzaj kantyny dla naszego użytku. Byliśmy przygotowani na wszelkie ewentualności, lecz praca, którą przyszło nam wykonać podczas następnego miesiąca, okazała się niemal ponad nasze siły. Pierwsza zapowiedź zbliżającego się okresu nieszczęść i trudów, uświadomiła mi się w sposób równie prosty, jak dramatyczny. W pawilonie mieliśmy łazienkę; jednego poranku udałem się tam po wodę, lecz gdy odkręciłem kurek, okazało się, że niema wody, choć poprzedniego wieczoru płynęła normalnie. Odkrycie to znaczyło, że Burowie odcięli wodociągi, które zasilają miasto w wodę. W rezultacie trzeba było używać wody studziennej, co wywołało epidemję, której ofiarą padło pięć tysięcy naszego żołnierza. Jedynym błędem, który popełnił Lord Roberts, był — mojem zdaniem — fakt, iż nie zebrał natychmiast możliwie największej siły i nie udał się na odbicie zbiorników wodociągów, które były o jakieś dwadzieścia mil od miasta. Zamiast tego czekał on, aż armja wypocznie i doczekał się wybuchu epidemji. Oczywiście wiem, jak łatwo jest być mądrym po szkodzie.

Wybuch tej zarazy był okropny. W wiadomościach, podawanych do pism, zmniejszono rzecz prosta jej rozmiary, lecz mogę obecnie powiedzieć, że żyliśmy otoczeni wprost trupami i ludźmi, ginącymi jak muchy. Nasz szpital miał pięćdziesiąt łóżek, lecz musieliśmy stale mieścić stu dwudziestu i więcej chorych, nie licząc coraz nowych trupów, którymi podłoga była wprost zasłana. Można sobie wyobrazić położenie, zważywszy, że zarówno pościel, jak i naczynia obliczone były

na pięćdziesięciu chorych. Jak musiał wyglądać nasz pawilon przy setkach chorych na najgroźniejszą febrę, dyzenterję, krwawą biegunkę i t. p., trudno opisać. Obraz nie był wolny od rysu mimowolnej i tragicznej ironji. Jeden koniec pawilonu zajęty był przez scenę, na której ustawiono już dekoracje do operetki. Kiedy wybuchła epidemja musieliśmy tam urządzić latryny dla tych, którym siły pozwalały tam się dowlec. Słabszych trzeba było obsługiwać tam, gdzie ich choroba zwaliła, wskutek czego powietrze było przesycone okropnym zaduchem i wyziewami. W tych warunkach był nasz pawilon, kiedy nam przysłano do pomocy dwie pielęgniarzki. Nigdy nie zapomnę tych jasnych, anielskiej dobroci, postaci, które pełnowały nieszczęsnych chorych, traktując ich jak słabe niemowlęta, prosto ze szczytówem samozaparciem się. Dzięki Bogu obie wyszły cało z tej próby.

Miesiąc spędzony w wygodach może się wydać krótkim, lecz cztery tygodnie w pomienionych warunkach, wśród straszego powietrza, przesyconego chorobą, wśród tumanu much, okrywających wszystko, pakujących się wprost do ust jedzącego, wydały się wiekiem. Było jeszcze pół biedy, kiedy cały nasz personel mógł pracować. Lecz wkrótce ludzie nasi poczęli słabnąć z nadmiernego wysiłku. Niemal wszyscy byli ochotnikami z Lancashire, z zawodu robotnicy tkaccy, drobni, źle odżywiani, lecz pełni zapału i energii. Niestety z piętnastu, dwunastu uległo wkrótce chorobie, zmniejszając tym sposobem poważnie ilość rąk do pracy, zwiększając równocześnie jej zasób. Trzech z nich

umarło. Na szczęście my starsi, trzymaliśmy się jako tako i zyskaliśmy wkrótce pomoc w osobie Dra Schwartza z Capetown. Mozół był ogromny, lecz czerpaliśmy siły w myśli, że obecność nasza nie jest bezcelową. Lecz największą pomocą był dla nas duch, który ożywiał pacjentów. Cierpliwość z jaką znosili oni swe cierpienia była istotnie budującą. Żołnierz brytyjski narzeka w czasie pokoju, lecz nigdy się nie skarży w obliczu śmierci.

Nasz szpital nie przedstawiał się gorzej od innych, że zaś było ich sporo, stąd łatwo sobie wyobrazić warunki, w jakich się znaleźli mieszkańcy miasta. O sporządzaniu trumien nie było mowy, więc grzebano zmarłych — przeciętnie sześćdziesięciu dziennie — spowitych w szare koce, w płytkich grobach. Nad miastem urosiła się woń chorobliwa, przyprowadzająca o mdłości. Raz, gdym wyjechał na godzinę poza miasto, by odetchnąć świeższym powietrzem, w odległości jakichś sześciu mil zmienił się kierunek wiatru i nagle otoczyła mnie ta sama woń. Mam wrażenie, że gdybym ją poczuł na chwilę teraz, uczułbym ten sam nastrój, w jakim się wówczas znajdowałem.

Lecz nareszcie skończył się ten okres. Armja ruszyła z miejsca, tak, że część chorych nowych znalazła się w innych, dalej położonych szpitalach. Wodociągi odebrano niemal bez oporu. Udałem się z tą częścią armji, która wyruszyła na ich odbicie; pamiętam, że spałem tę noc, spowity w płaszcz pod jakimś wagonem i przeziąłem tak, że zdało się iż nawet wnętrzności w człowieku przemarzły. Następnego ranka spo-

dziewano się bitwy, gdyż nas ostrzeliwano poprzedniego wieczora, więc Jan Hamilton, który dowodził, posuwał się naprzód bardzo ostrożnie. Na szczęście obawy okazały się płonne i prócz kilku postaci, obserwujących nas z sąsiednich pagórków, nie zobaczyliśmy wroga, który się oddalił w nocy.

W czasie tego pochodu przeszliśmy obok Sanna Post, gdzie kilka tygodni przedtem wciągnięto naszych w zasadzkę. Biedne konie artyleryjskie leżały jeszcze nieopogrzebane, tak jak padły od kul i całe pobojowisko zasłane było wszelkiego rodzaju szczątkami, od obuwia i pasów anty-cholerycznych do hełmów i torb skórzanych. Leżało tam również mnóstwo wystrzelonych naboju, z napisem na każdym: „Kule ciężkie. Sporządzone dla użytku Rządu Brytyjskiego. Londyn”. Co to miało znaczyć, nie wiem, gdyż żołnierze nasi używali kul normalnych z fabryki Lee-Metford, co sprawdziłem sam wielokrotnie. Musiał to być jakiś podstęp dla późniejszego usprawiedliwienia okrucieństw, chociaż naogół Burowie walczyli bez podstępów, uciekając się do nich dopiero pod sam koniec wojny.

Pochód Hamiltona był początkiem wielkiego posuwania się naprzód; odzyskawszy wodociągi, zwrócił się on na północ, stając się tem samem prawem skrzydłem armji. Po lewej jego stronie była siódma dywizja Tucker'a, dalej szósta dywizja Kelly Kenney'ego i pierwsza dywizja Pole-Carew'a wraz z Gwardją, wreszcie wielka masa piechoty, wsadzonej na konie, oddziały Obrony Krajowej, wojska kolonjalne i

korpus wojsk nieregularnych. Taki był skład wielkiej armji, która wczesnie w maju ruszyła z Bloemfontein ku Pretorji. Praca w szpitalu stała się lżejsza, tak, że ja i Archibald Langman znaleźliśmy sposobność zwolnienia się na jakiś czas i udania się wraz z armją, z którą spędziliśmy pierwszy okres tej wielkiej wyprawy. Przeżycia moje z tego czasu spisałem gdy były jeszcze świeże w pamięci, więc przytoczę tu niektóre ustępy tych notatek, które napewno są żywsze, niż ten zatarty obraz, jaki się jeszcze rysuje w mym umyśle po dwudziestu latach.



## XVI

### POBYT WŚRÓD ARMJI

Pole-Carew. — Tucker. — Strzały z ukrycia. — Zrabowana Farma. — Zdobycie Brandfort. — Walka artylerji. — Atak Gwardji. — Raniony skaut. — Zmarły Australczyk. — Powrót.

Stojąc w wąwazie Karee i patrząc z jego przełęczy na północ, ujrzeliśmy przed sobą wielką, zieloną równinę z rozrzuconemi tu i owdzie białemi plamami zagród. Równinę przeżyna jedna linja — obronna, t. zw. donga. Ze wszech stron opasują ją odległe wzgórza, u stóp których ujrzeliśmy mającą niewyraźnie linję domów, z wieżą wzbityą wysoko ponad nią. To Brandfort, oddalone od nas o mil dziesięć, które mamy zdobywać.

Wojsko sunie naprzód, szereg za szeregiem, czerwone twarze i „khaki” mundurów; głucho turkocą wozy armat. Na wzniesieniu obok nas, zatrzymują swe konie dwaj wojskowi, którzy przez połowe lunety obserwują odległą miejscinę. Dzielne i męskie ich postacie. Jeden wytworny i ubrany bardzo starannie, z ło-

luzowatym uśmiechem w oczach i na pięknej twarzy, gctów zda się do psoty, jak ulubiony żak szkolny; drugi surowy i ponury, cały w brwiach i potężnym nosie, ze skórą luszczącą się na spalonej twarzy, barwy ceglastej. Pierwszy, to generał dywizji Pole-Carew; drugi to brygadjer Stephenson. Obydwaj należą do „nowo odkrytych“ ludzi.

Niedaleko zatrzymuje się inny, godny uwagi. Barczysty, szerokich ramion, z czarną, równo uciętą, czarną brodą, spływającą na piersi, z ręką na temblaku, postać średniowiecznego rycerza. To Crabbe z Gwardji Grenadjerów. Zatrzymał konia na chwilę; gwardziści defilują przed nim długim szeregiem.

— Mam dość na dziś — cztery kule. Mam nadzieję, że piąta mnie ominie.

— Pan powinien być teraz w szpitalu.

— Mam co do tego swoje własne zdanie.

Wspina konia ostrugą i odjeżdża za swymi ludźmi.

Radość patrzeć na tych młodych oficerów Gwardji. Nie znać po nich, że to dandysi salonów z Mayfair, arystokratycznej dzielnicy Londynu. Sześć miesięcy spędzili w granicach afrykańskiego weldt'u, walcząc od Belmont do Bloemfontein. Ruchy ich wytworne, strój czysty, nieskazitelny. Ta sama dbałość o wygląd zewnętrzny.

Patrzemy przez lunetę. Na lewo, na samym końcu horyzontu coś się porusza. To jadąca na koniach piechota Huttona; jest ich kilka tysięcy; oskrzydliają pozycję od strony lewej, gotowi złamać jego zapędy w tamtą stronę. Dalej, poza nimi oddziały „Konnej Pie-

choty" Jana Hamiltona i kawalerja French'a. Cały front ciągnie się na jakieś trzydzieści mil; obejmuje jakieś 35.000 ludzi.

Zaczyna się pochód przez wielką równinę; na czelu rozciągnięta linja Piechoty na koniach; jedna kompanja zajmuje jakieś pół mili (angielskiej; równa się przeszło jednemu kilometrowi). Poprzedzają ją harcerze. Pół roku temu pochód taki był niemożliwy. Inaczej dziś wyglądamy zaopatrzeni w nowy materiał wojenny. „Donga" oddalona od nas tylko o jakieś 2 tysiące sążni; zatrzymujemy się, by się jej bacniej przypatrzeć. Działa się szykują, lepiej być w pogotowiu. Pole - Carew pędzi na koniu z miną uczniaka na wakacjach.

— Widział kto starego Tucker'a — woła, przykładając lunetę do oczu? Pytanie dotyczy osoby adjutanta, wysłanego z poleceniem do harcerzy. „Patrzcież na tego warjata! Zamiast do harcerzy, galopuje wzdłuż „dongi", by wypatrzeć Burów! Kto mu kazał!? Jak go zapytam o to, to odpowie napewno, że myślał, iż mnie tam znajdzie".

Nareszcie! Czemu pan zaraz nie wrócił?

— Nie zatrzymywałem się nigdzie.

— Aleś pan pojechał wzdłuż „dongi!

— Myślałem, że znajdę tam waszą wysokość.

— Niech pan nie łże.

Adjutant cofa się z wesołym uśmiechem. Strzelono do mnie, alem wolał o tem nie mówić. Wyznaje kolegom.

Trrra... trrra... trrra... Strzały na froncie. Każdy

wyciąga szyję. Czy to strzały z ukrycia, czy rozpoczęcie bitwy na dobre? Strzały padły z dalekiej zagrody. Bateria polowa, oznaczona liczbą 83, zaczyna się krzątać koło swych dział. Oficer dowodzący przechadza się tu i tam i spogląda w kierunku owej zagrody. Z obu stron ludzie wyciągają dwie linje powroza, wydając długie, monotonne wykrzyki; wyszukują ką, pod jakim pocisk ma wypaść; artylerzysta siedzi na dziale, pochłonięty lekturą kilkugroszowego pisma.

— Harcerze minęli już zagrodę, — mówi oficer.

— Doskonale, — odpowiada major.

Bateria zczepiona znowu i cały oddział rusza w kierunku zagrody. Przystanek na południowy posiłek. A oto dalszy rozwój wypadków.

Jakiś żołnierz wyprowadza z dziedzińca wózek z parą koni, dla użytku armji. Cała zagroda jest łupem wojennym, za te strzały dane z ukrycia. Może surowy przykład pouczy innych. Trudno się bawić w ceremonje na wojnie.

Przestraszona dziewczyna wybiega z chaty.

„Czy to wolno żołnierzom zabijać drób?!“ Cóż pomoże dyskusja, gdy kury zabite. Dumna i oburzona dziewczyna zapędza do izby trzy indyki. Żołnierze patrzą na nią łakomie, lecz zostawiają w spokoju.

Lecz na tem nie koniec. Tuczny, biały wieprzek, cały zakrwawiony pędzi ku nam z kwikiem, za nim żołnierz z bagnetem. Jeden cios, drugi, wieprz czyni wrzask coraz przeraźliwszy. Człowiek padający od kuli — to widok mniej działający na nerwy. Z okienka pod dachem wyrzucają wiązki siana; inni kopią jarzy-

ny w ogródku. Tu żołnierz pije mleko z jakiegoś dziwnego naczynia, rozśmieszając innych. Cała scena jak średniowieczna groteska.

Nadjeżdża generał, lecz i on niema słowa pociechy dla narzekających kobiet. „Samiście sobie winni. Nie trzeba było strzelać“. Z temi słowy odjeżdża dalej.

Z kolei zjawia się kapelan. „Spalić tę szopę“, mówi, „z dymem puścić! Dać nauczkę!“.

Mały chłopak holenderski patrzy nań szeroko rozwartemi, szaremi oczyma. Nie zapomni on opowiedzieć o tem swoim prawnukom.

„Wojna, to okropna rzecz“, mówi matka, po holendersku. Żołnierze płaczą się koło drzwi i okien, ciekawie oglądając mieszkańców. Lecz nie ma objawów brutalności.

Jakiś Kafir wchodzi do izby. „Kafir!“ krzyczy dziewczyna z płomieniami w oczach. „Ano Kafir“, mówi ten spokojnie i oddala się. „Nie spalicie nam domostwa?“ Woła matka.

— Nie, nie, odpowiadamy, — nie bójcie się.

Po posiłku i odpoczynku posuwamy się dalej w stronę miasteczka.

„Bumm! Bumm! Bumm!“ To armaty nareszcie. Lecz gdzieś daleko, na skrzydle Tucker'a. Na oddalonych pagórkach zielonych wykwitają białe smugi dymu. To pękające pociski. Patrząc przez lunetę, można dostrzedz w odległości ośmiu mil baterję brytyjską przy robocie. Czasem unosi się nad nią chmura kurza-

wy. To pocisk z armat wroga, którego dojrzeć nie można.

„Bumm! Bumm! Bumm!“ Zaczyna to brzmieć monotonnie. „Stary Tucker nie żartuje!“ „Lepiej niech ustanie i da nam sposobność ataku na Brandfort!“

Strzały zamierają w oddali. Ruszamy znowu. Zestrzelono nam tam jedno działo z łożyska i zraniono dwunastu ludzi. Lecz Hutton zatoczył już swoje skrzydło. Zbliżamy się do miasta. Konna artylerja atakuje. Nad pasmem pagórków wzbijają się szrapnele. Czołowa piechota pochyla się naprzód i przyśpiesza. Galopujemy w stronę frontu, lecz opór już złamany. Jazda pędzi naprzód. Armaty milczą. Przed nami spokojnie, słońcem zalane wzgórze. Jadę znów wzdłuż szeregów piechoty. „Ten podły wrzód na wielkim palcu u nogi pękł narazście“. „Przeklęta butelka, pusta!“ Co drugi ssie fajkę.

Miasto leży na prawo. Oddzielają nas jeszcze jakieś dwie mile. Na równinie jeździec zagania kłacz i żrebaki. Poznają go, to znany dobrze w towarzystwie londyńskim Burdett - Coutts. Pan Maxwell z „Morning Post“ radzi jechać do miasta, dla rozejrzenia się w niem. „Nasi ludzie“ pewnie tam już są. Nie widać ich wprawdzie na równinie, lecz spróbujmy. Wjeżdżamy do miasta. Istotnie, tam oto grupa naszych skautów. Młody Bur, właśnie schwytany, stoi wśród garstki jeźdźców. Twarz surowa; ubrany bardzo starannie; w Anglii mógłby ująć za syna właściciela ziemskiego.

— Panna ci w głowie, cierp teraz, — mówi sierżant, Australijczyk.

— Chciałem ją wywieść za miasto, — mówi jeń-  
niec.

Prowadzą innego. — Za kilka minut nie złapali-  
byście mnie tutaj, — mówi.

— Nie złapalibyśmy cię i wcześniej, żebyś wie-  
dział, jak uciekać, — odpowiada doświadczony widocz-  
nie zwycięzca.

W tej chwili nadjeżdża sztab. Miasto wzięte. Przy-  
prowadzają innego jeńca; Amerykański Irlandczyk,  
rudowłosy. — Co was to obchodzi? — odpowiada na  
każde pytanie. Odprowadzają go do więzienia.

Właścicielka naszego hotelu zalewa się łzami;  
męża jej uwięziono, bo znaleziono strzelbę w hotelu.  
Staramy się o jego uwolnienie z powodzeniem. Każe  
nam płacić 4 szylingi za pół butelki piwa, tak, że za-  
mierzamy zagrozić mu znowu uwięzieniem.

— To nie mój dom. Każą mi brać takie ceny, —  
woła ze łzami w oczach. Ściany gospody ozdobione są  
obrazkami pornograficznymi dla bawienia prostaczych  
farmerów. Nie pierwszy to raz miałem sposobność  
stwierdzić, że życie wiejskie i purytańskie wyznanie  
nie konieczne oznaczają surową moralność publicz-  
ną

Siedzimy na werandzie i palimy fajki przy blasku  
księżycy. Jakiś pijany mieszkaniec idzie ulicą, zata-  
czając się. Przed gospodą pełni wartę żołnierz brytyj-  
ski.

— Stój! Kto idzie?

— Swój!

— Hasło?

— Jam wolny Anglik!

— Hasło?

— Jam wolny...

Słysząc trzask strzelby, widąc błysk bagnetu. „Hej! stój!” woła najstarszy korespondent. „Obywatelu! Czeka cię kula, uważaj! Nie strzelać!” Wartownik dźwignął strzelbę na ramię i podszedł do przechodnia. „Co mam z nim zrobić?” zapytał korespondenta. „Zrób, co ci się podoba” Wytrzęziony obywatel zemknął co do ducha.

Prowadzę rozmowy polityczne z obywatelami Wolnego Państwa. Najlepiej rozpocząć taką rozmowę od pytania: „Pocoście wy wydali nam tę wojnę?” Wytworzyli oni w swej świadomości poczucie takiej niewinności, że przypomnienie, iż to oni byli stroną zaczepną, czyni na nich ogromne wrażenie. Ta sokratyczna metoda prowadzi do dość ciekawych wyników. Okazuje się, że wszyscy oni wierzyli w łatwe zwycięstwo i że obecnie są rozgoryczeni na Transwaal. Mają dość już wojny, podobnie jak przeważna część oficerów brytyjskich. Zdawało mi się czasem, że byłoby pożądanem, aby ci ostatni mieli mniej swobody w wypowiedaniu swych zdań osobistych, gdyż to może fatalnie oddziaływać na karność żołnierzy. Z drugiej strony było rzeczą jasną, że gdyby przyjęto warunki inne, niż całkowite poddanie się, nastąpiłby bunt w armji, podobnie jestem przekonany, że gdyby pozostawiono do woli oficerów opuszczenie pola wojny, niewielu skorzystałoby z tej swobody, mimo krytyki i narzekań.

Nasi inżynierzy kolejowi dokazują cudów. Mimo



zniszczonych mostów i szeregu innych przeszkód technicznych, pociąg nasz był następnego dnia w Brandfort, tak, że mogliśmy się udać w dalszą drogę ku Pietorji. Celem naszym teraz była rzeka Vet. Ruszyliśmy wczesnym rankiem.

I znowu przed oczyma wielka równina, z białemi zagrodami i ruchomą wstęgą koloru khaki. Dzień był ufałny, tak, że dziesięć mil jazdy było dość dla gwardzistów. Tu i owdzie na trawie można było dostrzedz leżących maruderów, lecz armja posuwała się pracowicie naprzód. Dziesięć mil zda się nie wiele, lecz zrobić je w kolumnie jazdy, w kurzawie piachu, w upała, z ładunkiem na plecach i strzelbą przez ramię, z zasobem amunicji, kocem, blaszankami, pustą butlą na wodę i ze spragnionym językiem — to nie łatwa sprawa.

Siwobrody kapelan kulał, dotrzymując kroku swej kompanji. Kiedym mu ofiarował mego konia, nie przyjął. — Nie, nie, po co mam psuć mój rekord?

W marszu ludzie idą w milczeniu; ani śpiewu, ani muzyki. Zarówno oficerowie, jak i żołnierze są w złych humorach.

— Czemuż ty... — ryczy jakiś podoficer.

— Bo nie słyszę ani słowa, — odpowiada kapral.

Na południowy wypoczynek zatrzymują się; kiedy się przechadzam wśród nich, mam wrażenie, że oficerowie gderzą za wiele. Przejęliśmy zbyt dużo z niemieckich metod militarynych. Naszym wzorem powinna być raczej metoda amerykańska, gdyż jest ona wytwo-

rem rasy Anglo-Celtyckiej w największem doświadczeniu wojennem, przez jakie rasa ta przeszła.

Posuwamy się dalej przez równinę. Ciekawość nas przejmuje, czy nad rzeką, która się wije w dali, czeka nas jakaś niespodzianka. Burowie obsadzają każdą rzekę i bronią każdej. Bronili rzeki Modder i Tugela, czy będą bronić rzeki Vet? Lecz co to? Galopem przypada człowiek z gołą głową na spienionym koniu. Usiłuje mówić, gestykułuje żywo. „Pięćdziesięciu... zasadzka... zgubiłem hełm...” Chwytny te urywane słowa. Nagle spostrzegamy, że koń, który począł spokojnie skubać trawę, ma z boku wielką, otwartą ranę, z której sączy się krew. Tak, konia postrzelili.

Jedziemy naprzód i przejeżdżamy przez rozdzielone szeregi harcerzy Gwardji. Za nami suną żywo dwa działa okrętowe, ciągnięte przez piętnaście par wołów. Na froncie przed nami ustawiała się już baterja. Zajeżdżamy ku niej z boku. W dali przed nami widnieje mała zagroda; dachy jej zabudowań kryte czerwoną dachówką. Piechota skupiła się w jedną gromadę i zbliża się ku nam. „Ot, cyrk gotowy; zaraz się zacznie zabawa”. Taki frazes powstał podczas wojny Secesyjnej w Ameryce. Nasz cyrk był gotów, a zabawa miała się niedługo zacząć.

Rozpoczęła ją 84-a baterja.

Bumm! Po chwili zobaczyłem wybuch pocisku na oddalonem wzgórzu. „3.500” ktoś woła. Bumm! „3.250”, powtarza ten sam głos. Bumm! „3.300”. Tym razem

smuga dymu wykwitła nad dachem, jak gdyby dom był w ogniu. „Doskonale”.

Właśnie, gdyśmy myśleli, że się skończy na tej jednostronnej grze, rozległ się nagły świst: „Whiiii...” zakończony głuchem „Uuuuff!” Jakieś pół sąga ziemi wylatuje w powietrze na sto sążni w górę, tuż przed naszą baterją. Artylerzyści tyle sobie robią z tego, co z padającego ziemniaka.

„Whiiii — uuufff!” pięćdziesiąt sążni przed baterją.

„Bumm! Bumm!” odpowiadają działa angielskie.

„Whiiii — uuufff!” — ty mrazem pięćdziesiąt sążni poza baterją. Następny pocisk napewno trafi w baterję. Puszkarze robią swoje, jakby ich to nic nie obchodziło. „Whiii — uuufff!” Prosto między działa tym razem! Kurzawa skryła obydwie działa. Ilu naszych padło!! Kurzawa rzędzie — wszyscy, co do jednego, zajęci dalszą pukanią, jakby nigdy nic!

Strzał za strzałem, pocisk za pociskiem, zaczęły poczynają latać różne; jedne pękają w powietrzu, wydając najpierw świst a potem przeraźliwy dźwięk metaliczny, coś w rodzaju „Whiiii — tang!”, zaczęły olbrzymią przestrzeń gruntu zakrywać kurzawa od padających kawałków szrapneli. Ale puszkarze nie zwracają na to uwagi. Ich nic nie wzruszy, chyba rozbicie działa, przy którym wtedy padają. Lecz pociski stają się coraz trafniejsze i tylko cud jakiś chroni naszych. Raz tylko zauważyłem, jak jeden z nich odrzucił w tył głowę, gdy pocisk padł przed nim. Inni zdali się poprostu automatami. Wreszcie jednak dowodzący oficer

kazał przesunąć działa. Przeciagnęli je jakieś pół mili na prawo i zabrali się do dalszej pukaniny.

Na największy podziw zasługuje przy tem ktoś, kto jest sam. Być dzielnym i odważnym w kupie to nie sztuka. Człowiek z jakim takim zmysłem miary właściwej czuje, że w tym procesie tworzenia się historii jest jako jednostka czemś tak małym i znikomem, iż przestaje myśleć o sobie. Jednostka ginie w masie. Lecz w tej chwili znajdujemy się na równinie sami, gdyż baterja jest o jakieś pół mili na prawo od nas. Nerwy nowicjusza są naprężone pod wpływem tej muzyki pocisków, chociaż jest w tem uczuciu jakaś nuta beztroskiej wesołości.

O jakieś dwieście sążni od nas ciągnie się płot; prowadzimy ku niemu nasze zestrachane konie, poczem kręcimy się w koło z lunetą przy oku, dla wyśledzenia skąd mogą przylecieć pociski Burów. Pewne miejsca dostrzeżone, budzą w nas podejrzenia, lecz pewności nie mamy. Nasi puszkarze może wiedzą, ale i co do tego mamy wątpliwości. Jest rzeczą pewną, że jedna dobrze skryta armata warta jest sześciu odkrytych. Ci farmerzy, którzy dali już nie jedną naukę naszym strzelcom, mogą zmienić system walki artylerji na całym świecie. Walka z niemi, to tak, jak walka ślepego z widzącym. Przyłącza się do nas oficer artylerji. Rozmawiamy. Ponieważ niema w tej chwili zajęcia, więc rad przypatrzeć się pracy kolegów. Pocisk pada nieopodal nas.

— Następny — mówi pułkownik — przeleci nad

naszemi głowami. Przejdźmy tam. Idę za nim, lecz bez pośpiechu. „Whiiiiii!

— O! jest! — woła pułkownik. „A mnie nie ma” myślę sobie. Pocisk padł na naszej linii o jakieś czterdzieści sążni na prawo. Podnoszę kawałek i zachowuję na pamiątkę.

— Czy zaczekamy na następny? Zaczynam żałować spotkania z pułkownikiem.

Lecz oto nowa sensacja! Rzuciwszy okiem w tył, spostrzegamy, że dwa olbrzymie działa okrętowe szykują się do akcji o jakieś 50 sążni od naszych biednych koni, które znajdują się tym sposobem na linii pewnej śmierci. Ledwieśmy zdołali je sprowadzić z tej linii, gdy się rozległo przerażające, najgłośniejsze ze wszystkich dotychczasowych „Bumm!”, poczem zaraz na odległym pagórku wykwitła biała smuga dymu z czarną plamą w jej środku. Po przez to wzgórze przebiegają jacyś jeźdźcy. To Burowie się cofają. Nasi puszkarze wyjmują z działa mosiężną obsadę wystrzelonego ładunku.

— Czy mogę to zabrać na pamiątkę?

— Z przyjemnością, — mówi porucznik.

Przywiązuję zdobycz do siodła, z przykrością myśląc o moim biednym koniu. Działo ryczy raz po raz, zaś najdalsze wzgórze zakwita coraz to nowym pióropuszem dymu.

Oddział piechoty przechodzi obok wielkich dział; posuwam się za nim nieco. To Gwardja Szkotów. Pierwszy szereg idzie naprzód, drugi się zatrzymuje i kładzie na ziemi.

„Oczywiście! Głowy na pokaz!” rozlegają się krzyki z drugiego szeregu. O co im właściwie chodziło, nie wiem, ale oficer ich rozgniewał się nie na żarty. „Milczeć!” woła odwracając w tył swą czerwoną twarz. „Za wiele rozkazów! Rozkaz przy mnie. Ludzie jego układają się na ziemi. Słońce zapada nisko. Widocznem jest, że zamierzony atak piechoty nie dojdzie do skutku. Jeden z wielkich pocisków przelatuje nad naszymi głowami, hucząc, jak oddalony pociąg w tunelu.

Obok przejeżdża człowiek z noszami przrzuconymi przez ramię. Koń, kasztan, sady w susach obok dział i dociera do brzegu pola kukurydzy. Ścigam go oczyma i mam przekonanie, że lada chwila koń wraz z jeźdźcem padnie. Nagle jeździec zeskoczył z konia. Po chwili ukazują się dwóch ludzi, niosących nosze, jeździec obok nich na koniu. Ponieważ miałem bandaż w kieszeni, posunąłem się ku nim.

— Czy doktor widział już rannego?

„Nie”. Złożyli nosze na ziemi. Twarz rannego zakryta chustką.

— Gdzie rana?

— W ramieniu.

Odkryłem koszulę i tuż pod skórą zobaczyłem kulę z Mauzera, która zamiast przebić, spelzła po kości. Nic łatwiejszego, jak wydobyć ją, lecz należy to zrobić w szpitalu. Nic groźnego.

— Nic panu nie będzie. Jak nazwisko?

— Smith. Z Nowej Zelandji.

Wymieniam moje nazwisko i podaję adres szpitalu Langmana w Bloemfontein.

— Czytałem pańskie książki, — mówi ranny, poczem orszak się oddała.

W strzelaniu nastąpiła przerwa. Słońce zachodzi. Wreszcie po dobrej chwili ostatni pocisk wroga nadlatuje. Wygląda to poprostu na obrazę, na drwiny, jakieś brutalne „dobra noc!” Obydwa nasze działa dzwignęły swe karki i huknęły razem w odpowiedzi. Było to, ostatnie słowo Imperjum — potężny, gniewny głos, idący poprzez „veldt”. Zapadł czerwony krąg słońca; rozpostarły się barwy fioletu i szkarłatu, zaś nad ich pałmem wznosił się wysoko biały księżyc. Co się stało? Kto zwyciężył? Czy inne oddziały brały udział w spotkaniu? Nikt nie umiał dać odpowiedzi na te pytania i nikt się o nie nie troszczył. Lecz późną nocą, leżąc na wznak i patrząc na gwiazdy, dostrzegłem po lewej stronie horyzontu jakieś świetlne sygnały i domyśliłem się, że to Hutton dawał znać o sobie.

Domysł mój był trafny, gdyż o świcie cały obóz już wiedział, że nieprzyjaciel uszedł. Wojsko wstało bardzo wcześnie. Jakiś czas przed świtem rozległy się stłumione, głuche głosy bębnow i trzask płonących trzasek pod wielkimi kotłami, w których się warzyło śniadanie. Gdy się rozwidniło, dziwny widok uderzył nasze oczy. Olbrzymi balon wznosił się zwolna w górę. To była nasza odpowiedź na ukrywanie baterji przez nieprzyjaciół. Należało je wysledzić z góry. Była to nowa, konieczna nauczka, którąśmy otrzymali w tej wojnie. Armja ruszyła z miejsca, idąc w kierunku

w jakim balon się posuwał. Zajęliśmy wkrótce wczorajsze pozycje nieprzyjacielskie, gdzieśmy znaleźli tylko puste skrzynie i trochę zielonych, jeszcze nie wystrzelonych ładunków. Mówiono, że są one zatrute, lecz ja miałem wrażenie, że posypane one były jakimś antyseptycznym środkiem. Ostatecznie Burowie nie są dzikimi barbarzyńcami. Walczą dzielnie i bardzo prze-myślnie, lecz fałszu nie ma w ich metodach.

Zegnamy się z armją, gdyż nasze obowiązki odwołują nas w tył, podczas gdy armja dąży naprzód. Ona idzie na kule, my wracamy do mikrobów. Jedno i drugie walka o cześć i sławę sztandaru, pod którym walczymy. Obok nas suną nieprzeliczone wozy, wagony, powozy i pojazdy wszelkiego rodzaju, długi i olbrzymi, nieco bezładny tabor armji. Nareszcie mijamy wszystko i zdążamy przez opustoszałą równinę z powrotem do Brandfort, odległego o jakieś dwadzieścia mil, w nadziei, że nam nie zastąpią drogi jacyś jeźdźcy nieprzyjacielscy, idący na przespiegą za armją. Przechodzimy obok wczorajszych pozycji naszych baterji i oglądamy wyrwy, poczynione przez pociski działowe. Spostrzegamy, że choć trzy pociski padły w odległości dziesięciu sążni od siebie, to jednak wysokie mrowiska, znajdujące się na tej przestrzeni, zostały nie-naruszone. To dowodzi, jak stosunkowo mało niebezpiecznym jest ogień działowy dla leżącej na ziemi piechoty. Sądząc ze śladów na glinie, piciski musiały być czterdziesto funtowe. Nieopodal leżał cały rysz tunek jakiegos gwardzisty, który widocznie zdjął z siebie



wszystko, co mu przeszkadzało w akcji i zapomniał, lub nie zdążył zabrać. Napewno dziś tego żałuje.

Jakiś Kafir na koniu przypada do nas w galopie, wskazując dłonią ku wschodowi.

— Anglik, tam... na równinie... zraniony... Holender... strzelił...

— Żyje?

Kafir potakuje skinieniem głowy.

— Kiedyś go widział?

Kafir wskazuje na słońce i na najniższy punkt horyzontu. Wnioskujemy, że o świcie, więc jakieś dwie godziny temu.

— Możesz nas zawieść ku niemu? „Podejmuje się za dwa szylingi. Galopujemy razem. Jedziemy najpierw przez pole kukurydzy, poczem wjeżdżamy na „veldt“. Co to może być? Na małym karczowisku widać czarną, nieruchomą figurę. Podjeżdżamy i zeskakujemy z koni. Przed nami leży człowiek, krępy, niski, smagłej cery; usta pokryte skrzepłą krwią, twarz zastygła; widać, że człowiek był przystojny; włos kruczyny i czarny wąs. Na ramieniu oznaka mosiężna z napisem: Nr. 410. Piechota Nowej Walji Południowej. Widocznie padł od kuli i zapomniano o nim lub przeoczono. Kiedy go Kafir dostrzegł, musiał już nie żyć. Ani strzelby przy nim, ani konia. Zegarek leży obok, wskazując godzinę pierwszą, widocznie liczył mijające godziny, póki wzrok mu służył. Oglądamy rany; okropna rana w brzuchu i ramię przestrzelone; śmierć nastąpiła wskutek upływu krwi. Obok zegarka butla na wodę, jeszcze nie wypróżniona. Lecz co to? Na tej

butelce stoi czerwony pionek szachów. Czyżby zmarły bawił się nim w ostatniej chwili? Reszta szachów w torbie, której nie mógł dostać ręką. Ciekawy taki szeregowiec z szachami na placu boju. A może je zrabował w jakiejś zagrodzie? Któż to wie?

Zbieramy kilka przedmiotów, stanowiących własność Nr. 410, skórzany pas na amunicję, pióro, jedwabną chusteczkę, scyzoryk, zegarek, 2 i pół szylinga w sakiewce. Następnie dźwigamy go i układamy na mego konia, którego w tej samej chwili obsiadają roje much, na krew łakome. Prowadzimy konia za uzdę i dochodzimy wreszcie do drogi, przy której składamy zmarłego pod słupem telegraficznym. Niedługo powinien przechodzić tędy konwój, który mu sprawi przyzwoity pogrzeb. Nr. 410 trzyma jedną dłoń, zwiniętą w pięść, sztywnie wyciągniętą. Staramy się ją zgiać, lecz za każdym razem wraca do swej pierwotnej pozycji, groźna, agresywna. Zarzucam na zmarłego płaszcz, lecz nawet z pod niego sterczy ta dłoń. Widocznie jeszcze w ostatniej chwili chciała bronić życia. Piękna śmierć — pod niebem, w obronie wielkiej sprawy. Trudno o piękniejszą.

Nieskończenie długa jazda, przez niekończącą się równinę. Tu i ówdzie grupa Kafirów na koniach, w poszukiwaniu łupu zapewne. Mam wrażenie, że oddział konnej policji przydałby się na tyłach armji. Jak można wiedzieć do czego zdolni ci Kafirowie, w zagrodach zostawionych na opiece kobiet i nieletnich dzieci.

Zrobiliśmy dziesięć mil i zjeżdżamy z drogi, by

napoić konie u grobli. Obok niej czarna kobyła tarza się po ziemi. Dziwny obraz zadowolenia. Nagle ruchy jej stygną. Jeszcze jeden trup, który będzie zatruwał powietrze. Spoczywamy przy grobli, paląc fajki. Droga przejeżdża korpus kawalerji kolonjalnej; po odznakach rozpoznanych przez lunety poznajemy, że to głośny i wsławiony korpus. Lecz gniew człowieka zbiera na myśl, jak mało w nas zmysłu wojennego, mimo tylu poniżających klęsk, które powinny nas już były czegoś nauczyć. Oto w kraju nieprzyjacielskim, pełnym zasadzek, pułk ten jedzie sobie najspokojniej, bez straży, bez skautów, bez służby wywiadowczej. Tylko jakiś Napoleon, któryby spotkawszy taki pułk, zerwał szlify pułkownikowi i zdegradował go na miejscu, bez apelacji, mógłby zreorganizować naszą armję.

Jedziemy dalszych sześć mil otwartą równiną i spotykamy mały konwój pod eskortą milicji, który zjeżdża z właściwej drogi. Zwracamy jego uwagę na błąd, lecz kapitan dowodzący okazuje wielki niepokój.

— Tam na tym pagórku, — jakieś pół mili na lewo od nas, — przyczaili się Burowie, — oświadczą.

— Pewnie gromada Kafirów, — uspokajamy go.

— Nie, nie; Burowie na koniach, ze strzelbami przez ramiona. — Widzimy istotnie jakieś figury, poruszające się w oddali, lecz powtarzamy, że to Kafirowie. Wkońcu rozjeżdżamy się, nieprzekonani. Byliśmy pewni, że ów kapitan, prowadzący pierwszy konwój, był ofiarą rozigranej wyobraźni, lecz urósł on w naszych oczach dnia następnego, gdyśmy się dowie-

dzieli, że oddział naszych ścigał całą noc tę właśnie gromadę, która się uwijała w naszym pobliżu. Jest też możliwem, że przypadkowa obecność konwoju, ocaliła nas od niebezpieczeństwa.

Spędziwszy jeden dzień w Brandfort, wsiedliśmy do otwartego wagonu, który nas zawiózł z powrotem do miasta pod adresem: Kawiarnia Choleryczna przy Bulwarze Mikrobów.

## XVII

### KOŃCOWE PRZEŻYCIA W AFRYCE POŁUDNIOWEJ

Zawiści wśród wojskowych. — Piłka nożna. — Złamane żebra. — Bunt. — De Wet. — Trudności historyka. — Pretoria. — Lord Roberts. — Wśród Burów. — Pamiętna operacja. — Sprzeczką.

Wśród ludzi znanych mi zawodów, wojskowi są najbardziej skłonni do wzajemnej zawiści i do dzielenia się na wrogie sobie partje. W Afryce Południowej pełno było tych zawiści; ciągle się słyszało, że ten generał idzie na udry z tamtym, a tamten z owym i t. d. Największe jednak współzawodnictwo panowało między ludźmi Roberts'a i Buller'a. Pierwsi zwłaszcza byli rozgoryczeni na obrońcę Ladysmith, tak, że słuchanie ich zarzutów mogło istotnie doprowadzić do pasji. Mojem zdaniem Buller był dobrym żołnierzem, lecz człowiekiem brutalnym i bez taktu. Dowodziło tego kilka autentycznych anekdot. Kiedy np. wszedł do Ladysmith, które obronił od oblegającej je długo armji, mieszkańcy wydobyli skądś kilka tortów i innych smakołyków, które podano na bankiecie, urządzonym na

część Buller'a. „Ja myślałem, że wy tu głodem przy-  
mieracie“, oświadczył on gburowato, rzucając okien-  
na stół i zebranych gości. Opowiadało mi to kilku lu-  
dzi, którzy byli obecni na tym bankiecie. Byłoby oczy-  
wiście rzeczą przykrą, gdyby długa i zasłużona karje-  
ra Buller'a miała się zakończyć usunięciem go w cień;  
to jednak jest pewne, że w innej służbie, zwłaszcza  
francuskiej, nie przeżyłby on klęski pod Colenso. Nie-  
zwykła mowa, którą wygłosił w Londynie po wojnie,  
dowodziła, że umysł jego zatracił poczucie rzeczywi-  
stości. Natomiast rola, jaką odegrał w tej niefortun-  
nej polemice Lord Roberts, przynosi mu zaszczyt.  
„Postąpię z Buller'em jak najłagodniej“, wyraził się  
on do jednego z członków swego sztabu i dotrzymał  
słowa.

Po powrocie zastałem szpital w stanie znacznie  
lepszym od tego, w jakim go opuściłem. Niestety, sam  
się rozchorowałem, choć nie niebezpiecznie. Mam do  
dziś przekonanie, że gdyby nie szczepienie, byłbym  
padł ofiarą dyzenterji, gdyż nawet ta lekka choroba  
przyprawiła mnie o niestrawność, która trwała do-  
brych dziesięć lat. Nie przyspieszył mej kuracji oczy-  
wiście wypadek, jakiemu uległem podczas jednego  
z meczów piłki nożnej, urządzonego przez różne szpi-  
tale dla oderwania służby i personelu od jednostaj-  
ności zajęcia. Charles Gibbs obłożył jakimś plastrem  
moje pogniecione żebra, ująwszy je w rodzaj gorsetu,  
lecz ja byłem już za stary na te wybryki, które w mło-  
dości przyjmowałem ze śmiechem.

Nastuwa mi się tu na pamięć inne zdarzenie z tego czasu. Wybuchła mianowicie zacięta kłótnia między naszym komendantem wojskowym, Drurym, który przedstawiał dyscyplinę i rutynę, tudzież naszymi kucharzami i służącymi, którzy przedstawiali świecką ideę swobody indywidualnej. Kiedym wrócił z obozu, spór ten doszedł do punktu, w którym służba nasza prosto się zbuntowała, skutkiem czego praca uległa demoralizacji, na czem najwięcej cierpieli nasi pacjenci. Drury się wściekał, powiększając tem opór i upór strajkujących. Doszedłem do przekonania, że była to jedna z tych chwil, w których zgodnie z warunkami p. Langmana, było moim obowiązkiem interwenjować. Otrzymawszy zgodę majora Drury, który był rad, że ktoś inny zdejmuje z jego ramion odpowiedzialność za dalszą dezorganizację szpitala, zasiadłem za wielkim stołem naszej jadalni, mając przed sobą sześciu głównych sprawców buntu, którzy stali wyciągniętym sznurkiem z wyraźnie wyzywającymi minami. Zacząłem do nich przemawiać spokojnie i łagodnie; zaznaczyłem, że jestem w pewnej mierze za nich odpowiedzialny, gdyż wielu zostało przyjętych za moim pośrednictwem. Wraziłem podziw dla ich wytrwałości i współczucie dla wszystkiego, co przejść musieli i oświadczyłem, że przejścia te musiały się odbić ujemnie na nerwach każdego z nas, że jednak Obowiązek i Karność muszą zapanować nad słabościami ciał naszych. Niezawątpliwie przełożeni są także przemęczeni, więc stosunek wzajemny powinien polegać na wzajemnych ustępstwach. Z kolei przeszedłem do tonu poważniejszego. „Sprawa, o którą nam chodzi, ma się stać przed-

miotem sądu wojennego; by do tego nie dopuścić, postanowiłem pośredniczyć w ostatniej chwili. Panowie oczywiście zdajecie sobie sprawę z położenia. Okazaliście nieposłuszeństwo wobec rozkazów przełożonego wojskowego na terenie wojny, w obliczu nieprzyjaciela. Za to jest tylko jedna kara: śmierć". Sześć par oczu patrzyło we mnie w dzikim pomieszaniu. Przygotowawszy tym sposobem grunt, przeszedłem do szczegółowego rozpatrzenia zażaleń, przyrzekłem usunięcie tych, które mogą być uważane za słuszne i zażądałem formalnego przeproszenia majora Drury, jako warunku dalszej akcji z mej strony. Zgodzili się na wszystko, przeprosili i od tego czasu zatarg się nie powtórzył.

Natomiast przeżyłem chwile niepokoju innego rodzaju. Mianowicie Archibald Langman, który tak zasmakował w życiu obozowym, że mu się nudziło w szpitalu, wybrał się znów w pole z Imperjalną Obrońcą Krajową (Imperial Jeomanry) i wpadł w ręce De Wet'a, który właśnie odniósł niewielkie zwycięstwo pod Roodeval. Ten słynny przywódca walki podjazdowej był człowiekiem surowym, lecz sprawiedliwym; pracowników szpitalnych cenił bardzo, tak, że Archibald wrócił wkrótce cało i bezpiecznie. Lecz w ciągu tych kilku dni, które upłynęły między jego schwytniem i powrotem, nie zaznałem ani chwili spokoju.

Armja parła naprzód prawie bez walki, tak, że Pretorja była wkrótce w naszych rękach. Wszystkim nam się zdawało, że to koniec wojny i że tylko pozostaje oczyścić z wroga resztę terenu. To też zacząłem



przemysliwać o powrocie do Europy. Dwa względy górowały nad innymi, bardziej osobistej natury. Pierwszym był взгляд na moją „Historję Wojny”, którą pisałem mimo nieodpowiednich warunków cały ten czas, zbierając często materiał od naocznych świadków danych wydarzeń. Jednak była pewna część materiału niezbędnego, który można było otrzymać tylko w Londynie. Drugi взгляд dotyczył przesilenia politycznego w Anglii i zbliżających się wyborów powszechnych z możliwością mej kandydatury. Nie chciałem jednak opuszczać Afryki bez zobaczenia Pretorji, więc otrzymawszy nie bez trudności urlop, wybrałem się dnia 22 czerwca w tę pełną niebezpieczeństw drogę.

Była to niewątpliwie najdziwniejsza podróż kolejną, jaką odbyłem w życiu. Z minuty na minutę człowiek nie wiedział co się może zdarzyć. Byłem w towarzystwie sekretarza Lorda Milner'a, majora Stanbury Williams'a, który udzielił mi miejsca w swym wagonie; był z nami również młody, małej postaci człowiek, nazwiskiem Amery, wtedy jeszcze nikomu nieznanym, dziś członek rządu i gabinetu. Byli inni, których nazwisk nie pamiętam. Ilekroć pociąg się zatrzymywał, a czynił to bardzo często, nikt nie widział, czy był to postój na pięć minut, czy na pięć godzin, jak się często zdarzało; że zaś ruszał w dalszą drogę bez żadnego ostrzeżenia, więc trudno było wagon opuszczać. Spotkaliśmy w drodze pociąg, zdążający do Bloemfontein, z powybijanymi oknami i dowiedzieliś-

my się, że dwudziestu ludzi odniosło rany podczas niespodziewanego ataku Burów. To też każdej chwili spodziewaliśmy się napaści. Raz podczas jednego z długich postojów ujrzeliśmy jakiegoś jeźdźca, pędzącego przez błonie. Wysiedliśmy z wagonu dla rozmowy z nim. Był to chłop tęgi, bezbronny, ale podejrzanego wyglądu. Oświadczył, że jest farmerem, lojalnym brytyjczykiem, lecz ja byłem niemal pewny, że to wysłannik Burów, chcący się dowiedzieć, czem pociąg naładowany. Siedział swobodnie na swem siodle czas jakiś, gawędząc z nami, poczem nagle wykręcił konia i znikł w galopie. Nieco dalej zobaczyliśmy płonąca farmę i naszych ludzi uwijających się dokoła niej; mówiono mi, że była to jedna z farm De Wet'a i że spalono ją za karę za przecięcie toru kolejowego. Cała scena wyglądała jak średniowieczny obrazek, gdzieś z pogranicza Anglii i Szkocji.

Kiedyśmy przybyli do miejscowości Roodeval, gdzie nasza milicja z Derbyshire została zdziesiątkowana przez De Wet'a, pociąg musiał się zatrzymać, gdyż nie ukończono naprawy przerwane toru. To dało nam możliwość opuszczenia wagonu i przechadzki. Całe miejsce było poprostu zasiane pociskami wielkich dział, zrabowanymi z jakiegoś pociągu. Dalej wielka przestrzeń była zasłana na pół spalonymi lub spopielałymi listami, gdyż De Wet kazał palić worki pocztowe — jeden z mniej sympatycznych jego czynów. Napoleon postąpił jednak jeszcze gorzej w wypadku, gdy kazał opublikować przejętą pocztę brytyjską, co spowodowało podobny krok odwetowy ze

strony Anglików. Podniosłem skrawek jakiegoś listu, który wiatr przywiął mi pod nogi i przeczytałem niezdarńie nabazgrane te słowa: „Spodziewam się, żeście wytlukli już tych Burów co do nogi”. Między innymi szczątkami walały się również instrumenty orkiestry wojskowej, po których De Wet kazał przesuwać ciężkie wozy.

Z dziwnem uczuciem zobaczyłem jednego poranku platformę a nad nią tablicę z napisem „Pretorja”. Więc nareszcie znalazłem się w samym centrum całej zawieruchy. Hotel „Transwal” był otwarty, więc się w nim zatrzymałem, poczem zająłem się badaniem ludzi i rzeczy. Jednym z pierwszych moich zadań, było zobaczenie się z Lordem Roberts'em, który pragnął omówić pewne sensacyjne artykuły, jakie Burdett-Coutts umieścił w prasie londyńskiej, o okropnym stanie szpitalów wojennych. Nie ulega wątpliwości, że przeważna część tych szpitali znalazła się nagle w stanie, uzasadniającym wszelką krytykę, lecz stało się to dzięki niemniej nagłemu wybuchowi epidemicznych chorób. W tych warunkach, każdy robił nie tylko to, co normalnie do niego należało, lecz starał się poddać wymaganiom nadnormalnym. Że mimo to wiele pozostawało do życzenia, na to nie można było poradzić. Wyjaśniłem to wszystko Lordowi Roberts'owi, a później Królewskiej Komisji w Londynie. Zdanie moje, jako pochodzące od człowieka pracującego bezinteresownie, miało prawdopodobnie więcej wagi, niż oficjalna opinia osób zaplątanych w tę sprawę, z myślą o karierze osobistej. Pamiętam jak dziś Roberts'a, siedzące-

go przy swem biurku w małym pokoiku. Jego twarz była czerwona i nabrzmiała od upału słońca; wiek nie osłabił jego przenikliwości, a warunki wojny nie pozabawiły go wytwornej grzeczności, która mnie uderzyła już przy pierwszym spotkaniu w Londynie. Jego niebieskie oczy były tak samo inteligentne i łagodne, choć nieco zmęczone; znać też było w nich starczość, lecz nic dziwnego, wszak był to chyba jedyny przykład, aby człowiek przeszło siedemdziesięcioletni musiał opuścić zacisze odpoczynku i zasłużonych wygód, dla kierowania ciężką i znojną kampanją w pół-dzikim kraju. A przecież to jego szybki pochód na Paardeburg, który szybko oskrzydlił wroga, zadecydował o wyniku kampanji. Pożegnałem go po krótkiej i żywej rozmowie i nie widziałem go aż do chwili, kiedy odwiedził mnie w moim domu w Hindhead, w r. 1902, przyczem oglądał moją prywatną strzelnicę.

Lorda Kitchenera prawie że nie widziałem w Pretorji, gdyż raz tylko przejechał obok mnie w pełnym galopie na swym kasztanie i skinął dłonią, na znak, że mnie poznaje. Od Paardeburg'a jego rosnąca sława nieco ucierpiała, gdyż istotnie jego ataki na odciętą siłę Burów, która musiała się poddać wcześniej czy później, były niepotrzebne, a kosztowały jakieś 2.000 ludzi w stratach. Nie jest to zdanie laika, gdyż podzielali je powszechnie najtężsi wojskowi. Pułkownik Hannay posunął się tak daleko, że przed udaniem się do ataku, w którym znalazł śmierć pospoitu ze swymi ludźmi, ogłosił publicznie protest, przeciw niepotrzebnemu marnowaniu życia i krwi ludzkiej. Lecz w chwili, o któ-

rej mowa, wszystkie oczy były zwrócone na Kitchener'a, gdyż najważniejszą potrzebą tej chwili była organizacja komunikacji między poszczególnymi członkami armji. Zaś pod tym względem nikt mu nie mógł dorównać. Opowiadali mi naoczni świadkowie, że podczas bitwy Kitchener szybko się denerwował i tracił cierpliwość, podczas gdy Roberts, czakazywał tem więcej spokoju i zimnej krwi, im niebezpieczeństwo było większe. Gdzie jednak chodziło o administrację i organizację, tam Kitchener był poprostu nieludzko rzeczowym. „Z przykrością donoszę o eksplozji dynamitu. Czterdziestu Kafirów zabitych“, komunikował jeden z oficerów. Telegraficzna odpowiedź Kitchener'a brzmiała: „Czy potrzeba więcej dynamitu?“

Pod ścianą hotelu, tuż przy drzwiach wchodowych stała ława drewniana, na której zasiadało wieczorem, prawie co dnia, kilku brodatych mieszczan dla wypalenia fajki i pogawędki. Przysiadłem się do nich z moją fajką burską, napełnioną najlepszym gatunkiem tytoniu z Magaliesburg. Po pewnej chwili milczenia wywiązywała się rozmowa ogólna; mówili oni doskonałą angielszczyzną swemi charakterystycznymi gardłowemi głosami. Ich słynny wódz, Botha, znajdował się gdzieś niedaleko miasta i było powszechną tajemnicą, że co noc otrzymywał on wiadomości, zaczerpnięte w mieście przez swych zwolenników. Ta gromadka starych mieszczan wyglądała mi na grupę wywiadowczą, więc postanowiłem dać ich głowom coś do trawienia. Po kilku wstępnych uwagach obojętnej treści, jeden

z nich zapytał mnie obcesowo: „Niech też pan powie, kiedy pokój nastanie?” Wszyscy oni byli pod wrażeniem, że całe imperjum brytyjskie pragnie pokoju; podtrzymywało to ich opór. „Mojem zdaniem nie prędko”, odpowiedziałem. Popatrzyli na siebie w milczeniu, poczem ten sam zapytał znowu: „A czemu pan tak miarkuje?” „Mnie się tak widzi”, odparłem z jak największą prostotą, „ten kraj będzie kolonią Brytyjską; byłoby dla nas rzeczą niewygodną mieć kolonję, pełną niebezpiecznych ludzi. Trudnoby było ich wtedy się pozbyć. Wszak byłiby oni współ-obywatelami, równymi nam wobec prawa. Ta wojna daje nam jedyną sposobność pozbycia się ich, więc jeśli czasu starczy, wytępiamy ich teraz. Staruszkowie chrząkali groźnie i puszczały ogromne kłęby dymu z ich fajek, lecz nie wiedzieli co odpowiedzieć. Być może, że te moje słowa dotarły w jakiejś formie do uszu tego, o którym myślałem.

Najdłuższą wycieczkę z Pretorji do Waterval odbyłem w towarzystwie Burnett'a Burleigh'a, na wózku lokalnej konstrukcji. Raz zbliżyliśmy się do patrolującego oddziału Burów, złożonego z tuzina jezdnych. Burleigh nie wierzył, że to oddział nieprzyjacielski, aż nu zwróciłem uwagę na fakt, że kilka koni jest białej maści, rzecz niedopuszczalna w naszej armji. Oglądając ich przez lunetę, towarzysz mój przyznał mi rację. Musiał ten oddział być czemś bardzo zajęty, bo zupełnie nie zwrócił na nas uwagi, chociaż z łatwością mógł nam odciąć odwrót. Dojechaliśmy do wielkiego obozowiska jeńców, w którym do niedawna wielu

żołnierzy brytyjskich i kolonialnych pędziło żywot poniżającej niewoli. Wydostali się oni na wolność przed jakimś dwoma tygodniami, tak, że całe obozowisko było jeszcze zasłane mnóstwem pozostałych szczątków. Zabrałem stamtąd na pamiątkę karabinę burską, złamaną widocznie przez jakiegoś jeńca, niedokończoną włóczkową skarpetkę, z szydełkami sporządzonemi z drutu, okalającego obozowisko, wreszcie parę kajdan na nogi, z więzienia wybudowanego w tem obozowisku.

Część uwięzionych tam huzarów wykopała tunel, który był prawie na ukończeniu, gdy nadszedł dzień wyzwolenia. Podziwialiśmy tę robotę, wykonaną głównie łyżkami. Zmierzyłem jego głęb i długość a kiedym wychodził, Burleigh sfotografował mnie na tle otworu. Pewnie niejednen z przyjaciół posiada jeszcze tę fotografię z moim napisem: „Wyłażąc z dziury, jak Imperjum Brytyjskie“.

Jeden dzień spędziłem w Johannesburgu, przechadzając się po jego opustoszałych ulicach i oglądając prawie nieczynne kopalnie. Zwiedziłem dokładniej kopalnię Robinson, lecz przy braku odpowiedniej maszyny, schodzenie w głęb po mokrych drewnianych schodach, nie należało do wielkich przyjemności. Nie obyło się oczywiście bez zakładów, które kopalnie będą najwydatniejsze po wojnie; rzecz prosta nie wygrałem żadnego zakładu.

W dniu 4 lipca, po zupełnie spokojnej podróży, która dowodziła polepszenia się naszej pozycji, stanąłem z powrotem w Szpitalu Langmana. Zostałem wszy-

stko w spokoju i w porządku; jedyną nieprzyjemnością była wiadomość o śmierci jeszcze jednego z naszych służących, który umarł nie na febrę gastryczną, lecz na t. zw. „erysipelas”; wspominam o tem dlatego, że febra gastryczna była tak powszechną, że pojawienie się innego gatunku febry było rzeczą niezwykłą. Gdyby cała armja podległa zaszczepieniu, ilość ofiar w tej wojnie wskutek choroby byłaby minimalna. Wypadków chirurgicznych mieliśmy niewiele, lecz pamiętam dobrze jedną operację, która przez swe niezwykle szczegóły techniczne utkwiała w mej pamięci. Holenderski attaché wojskowy, który był w obozie Burów, padł podczas jednej z potyczek i jako ranny dostał się do naszego obozu, gdzie został tknięty paraliżem. Pokazało się, że szrapnel strzaskał jedną z kostek pacierzowych w karku; odłamek kości wywierał taki ucisk na zwój nerwów, że te przestały funkcjonować. Operatorem był Watson Cheyne, z Londynu. Kiedy starał się on silnemi obciążkami dźwignąć w górę złamany łuk kostny, z głębi powstałej w ten sposób szkarłatnej szczeliny, trysnął strumień czystej wody, na dwie stopy wysoki, który się u szczytu rozczapierzał w kształt palmowego drzewa; stopniowo wytrysk ten się zmniejszał, doszedł kilkucalowej wysokości, wreszcie zniknął. Wyznaję, że nie miałem pojęcia co to wszystko mogło znaczyć i mam wrażenie, że większość asystujących chirurgów była tak samo zaskoczona, jak ja. Objasnienia udzielił mi jak zwykle w takich wypadkach Charles Gibbs, który oświadczył, że płyn mózgowopacierzowy, którego ilość normalna jest tak niewielka,



że utrzymuje ona tylko stan wilgotności dokoła stosu pacierzowego, wytwarzał się w ogromnej ilości pod wpływem naporu złamanej kostki, tak, że wkońcu spowodował spęcznienie całej pochwy. Obciążki operatora przecięły pochwę w pewnym małym punkcie, przez który płyn ów trysnął w górę. To opróżnienie pochwy musiało być zbyt nagłe, gdyż pacjent umarł wkrótce po usunięciu go ze stołu operacyjnego.

Charles Gibbs jest obecnie starszym chirurgiem w londyńskim szpitalu Charing Cross; mam nadzieję, że nie weźmie on za złe swemu dawnemu uczniowi, gdy ten przypomni tu wypadek, w którym nie mistrz, lecz uczeń był górą. Jeden z moich chorych na febrę gastryczną był najwidoczniej bliskim śmierci i powtarzał nieustannie, że chciałby bodaj raz jeszcze dobrze zjeść. Wiadomo, jak surową jest djeta przy febrze gastrycznej; polega ona — a przynajmniej wtedy polegała na płynach, gdyż owrzodzone wnętrzości mogłyby łatwo uleść przerwaniu, pod naciskiem jakiejś stałej materji i spowodować śmierć natychmiastową wskutek peritonitis. Zapytałem Gibbs'a: „Czy pan myśli, że ten chory nie wyjdzie cało”. „Nie zdaje mi się”, odparł Gibbs. „W takim razie dam mu przyzwoity obiad na drogę”. Gibbs potrząsnął głową, najwidoczniej zgorzszony. „Nie przyjąłbym na siebie takiej odpowiedzialności”, rzekł stanowczo. „Gdzież ta odpowiedzialność”, zapytałem, „skoro tak czy owak ma umrzeć?”. „Różnica w tem, że w pierwszym wypadku zabije go choroba, a w drugim lekarz”. „Eh, spróbuję!” rzekłem: — spróbowałem. Z jakim skutkiem, tego dowo-

dzi list, który otrzymałem w jakiś rok później w Edynburgu, podczas jednego z moich zebrań wyborczych. Oto jego kopja:

123, Royal Road,  
Kennington Park, London S. E  
1 października, 1900.

W. Panie,

Jako jeden z tych, którzy byli pod pieczę pańską w Bloemfontein w Szpitalu Langmana, pozwalam sobie przesłać W. Panu życzenia powodzenia. Czyniac to, idę za głosem nie tylko moich przekonañ politycznych, lecz także przeświadczenia, że ja (i wielu innych) zawdzięczam życie pańskiej troskliwości i ludzkości. W. Pan zapewne mnie nie pamięta, lecz mogę Pana zapewnić, że pamięć Jego zapisana w mym umyśle niestartem i głoskami. Życząc raz jeszcze powodzenia, pozostaję WPana

sługą powolnym  
(Szeregowiec) M. Hanlon, C. J. V.

P. Hanlon, to mój pacjent, któremu dałem dobry obiad, przed jego wyprawą na drugi świat. Od chwili tego obiadu przestał on jednak myśleć o tej wyprawie. Oczywiście nie znaczy to, że febrę gastryczną należy leczyć dobrym obiadem.

W dniu 11 lipca wsiadłem na statek „Briton” w porcie Capetown, w drodze do Anglii. Przed wyjazdem złożyłem wizytę Sir Alfredowi Milnerowi, który się bardzo postarzał od czasu kiedym go poznał

w przededniu jego karjery w Egipcie. Posiwał, pochylał się, lecz nie stracił nic ze swej energii, którą zachował do ostatka. Jedynym jego błędem było, mojem zdaniem, przekonanie, że po wojnie będzie można utrzymać w Afryce Południowej stan wojenny; poza tem, trudno było o lepszego człowieka na tem niesłychanie ciężkiem i odpowiedzialnem stanowisku.

Niezwykłą była lista podróżnych na statku „Briton”; Książę Norfolk i brat jego Lord Edward Talbot należeli do najweselszych gości na pokładzie. Zabawny to był widok, kiedy pierwszy co do hierarchji, baron angielski wyzwał na pojedynek na „pęcherze” grubego Holendra; obaj usiedli na belce ruchomej i poczęli się okładać pęcherzami, aż pokonany Holender spadł z belki. Był dalej wśród podróżnych Sir John Willoughby, pamiętny z okazji t. zw. Raidu Jameson'a, Lady Sarah Wilson z Mafeking, książę Marlborough, Lady A. Grosvenor, Ivor Guest i wielu innych wstawionych wojskowych. Szczególnie rad byłem z nawiązanej wtedy przyjaźni z Fletcher'em Robinsonem i Nevinsonem. Jeden tylko drobny wypadek zmącił pogodę tej miłej podróży. Był na statku oficer cudzoziemski, który bawił w obozie Burów i teraz wypowiadał swe poglądy w sposób wysoce niedyskretny i bez taktu. Między innymi oświadczył w mojej obecności, że brytyjskie wojska używały z reguły kul Dum-Dum. Na to straciłem cierpliwość i powiedziałem mu w oczy, że łże. Muszę przyznać, że potem zachował się on zupełnie przyzwoicie, gdyż pomyślawszy chwilę doszedł do przekonania, że widocznie się mylił; wobec tego zapy-

tał mnie przez mego przyjaciela Robinson'a, czy przyjmę przeprosiny. Odpowiedziałem mu, że nie, gdyż nie mnie obraził, lecz armję. Po jakiejś godzinie Robinson przyniósł mi list, zawierający odwołanie i przeproszenie. Tak zakończyła się sprzeczka, która inaczej mogła mieć poważniejsze następstwa.

W pierwszych dniach sierpnia znalazłem się z powrotem w Londynie i wkrótce cały ten epizod, z zieloną dalą „veldt'u“, ze splaszczonymi pagórkami, z febrą i szpitalem począł się zasnuwać mgłą niepamięci, zamieniając się na rodzaj wizji sennej.

## XVIII

### ODEZWA DO OPINJI ŚWIATA

Fałszywy pogład. — Nagła decyzja. — Reginald Smith. — Tydzień pracy. — 'Przyczyna i przebieg wojny'. — Tłumaczenia. — List z Niemiec. — Wielkie powodzenie. — Nadwyżka.

Jeden z najmilszych epizodów mego życia związany jest z pracą nad broszurą, którą napisałem na temat metod i celów naszej armji w Afryce Południowej. Usiłowałem tym sposobem powstrzymać zalew całej Europy literaturą, mającą na celu spotwarzenie i zniesławienie Anglji niemal w każdym kraju Europy. Fala ta przybierała takie rozmiary, iż zdawało się, że na tej fikcyjnej podstawie powstanie konstrukcja polityczna, która doprowadzi do poważnej wojny.

Pamiętam doskonale początek mego pomysłu. Był to w d. 2-im stycznia 1902 roku, we wtorek. Sir Henry Thomson zaprosił mnie na jeden ze swych tygodniowych obiadów; w drodze z Hindhead do Londynu czytałem kolumnę Times'a, poświęconą sprawom zagranicznym. Jedna szpalta zawierała opis zgromadzeń

w różnych częściach Europy—zwłaszcza zaś zjazdu kilkuset duchownych w prowincji Nadreńskiej — protestujących przeciwko rzekomym barbarzyństwu, popełnionym przez nas na wrogach naszych. Następna szpalta zawierała wyciągi z pism zagranicznych, opisujące w sposób groteskowy rzekome okrucieństwa. Dla każdego, kto zna prostotę żołnierza brytyjskiego i charakter jego dowódców, wszystko to było prostą nedorzecznoscia; a jednak, kiedy odłożyłem gazetę i począłem myśleć o tej sprawie, nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że ci ludzie z kontynentu działali pod wpływem bezinteresownego i szlachetnego bodźca, który im przynosił zaszczyt. Nie było przecież ich wina, że wierzyli w te fałsze, bo nie wiedzieli, że to fałsze. Skoro jednak wierzyli, było ich obowiązkiem protestować i potępiać. Czy my sami nie padlibyśmy ofiarami takiej samej łatwowierności, gdybyśmy mieli o danem wydarzeniu jednostronne sprawozdanie, poparte przez największych dziennikarzy i artystów pióra i ołówka, mniejsza o to, czy za pieniądze czy bezinteresownie? Oczywiście, że tak. A czyjaż to było wina, że nasz pogląd nie był równie znany światu cywilizowanemu? Możemy zbyt dumni, a możemy zbyt opieśzali—lecz jasnym było, że zapadł wyrok przeciw nam zaocznie. Jak mogli poznać naszą sprawę? Gdzie mogli znaleźć jej oświetlenie? Gdyby mnie kto zapytał, do jakich dokumentów ma się zwrócić, cóżbym odpowiedział? Oficjalne sprawozdania i archiwa państwowe nie są dostępne każdemu. Były co prawda obszerne dzieła Fitz-Patrick'a i E. T. Cook'a, lecz te były kosz-

towne i przeznaczone dla specjalistów, przytem niełatwe do tłumaczenia. Nie było krótkiej, treściwej broszury, któraby w sposób jak najprostszy przedstawiała całą sprawę z każdego możliwego punktu widzenia. Czemu jakiś Brytyjczyk nie napisał takiej broszury? W odpowiedzi na to pytanie padło inne: „A czemuś ty sam jej nie napisał“?

Od tej chwili myśl ta nie dała mi spokoju. Rzadko kiedy w życiu miałem tak bezpośrednie poczucie nakazu i powołania, które na razie usunęło z mej myśli wszystko inne. Fakt, że byłem osobą bez pozycji, przemawiał raczej na korzyść, gdyż dowodził bezinteresowności mego kroku. Posiadałem dostateczną znajomość faktów, gdyż napisałem już zarys tej wojny. Byłem naocznym świadkiem wielu wydarzeń i posiadałem wiele dokumentów pierwszorzędnej wagi. Pomysł mój rósł i dojrzewał z każdą chwilą. Urządzi się składkę publiczną i za pieniądze tak uzyskane wraz z dochodem z angielskiego wydania broszury, opłaci się tłumaczenia na wszystkie języki. Te tłumaczenia rozeszle się darmo w setkach tysięcy egzemplarzy, tak, aby każdy profesor, każdy ksiądz, każdy dziennikarz, każdy polityk, znalazł je na swoim biurku. W ten sposób usunie się możliwość zasłaniania się na przyszłość nieświadomością. Zanim dojechałem do Londynu miałem gotowy plan całej roboty.

Szczyście mi sprzyjało. Wspominałem już, żejechałem zaproszony na obiad przez Sir Henry Thomson'a. Przy stole siedziałem obok jegomościa, którego nazwiska nie dosłyszałem. Ponieważ cały byłem prze-

jęty moją ideą, nakierowałem wkrótce rozmowę na jej temat, że zaś sąsiad mój nie okazał znużenia, przeciwnie, zdawał się słuchać z uwagą i zainteresowaniem, przeto wyluszczyłem mu mój pomysł bardziej szczegółowo. Wysłuchawszy wszystkiego bardzo cierpliwie, mój sąsiad zapytał mnie, skąd zamierzam otrzymać pieniądze dla urzeczywistnienia tak dalekosiężnego zamierzenia. Odpowiedziałem, że zaapeluję do ofiarności publicznej. Z kolei zapytał mnie, ile mojem zdaniem wystarczy na ten cel. Odpowiedziałem, że na początek wystarczyłoby tysiąc funtów. Na to odparł, że trzeba będzie znacznie więcej. Ale dodał, jeśliby tysiąc funtów miało sprawę ruszyć z miejsca, nie wątpię, że taka suma dałaby się wydobyć. Od kogo? — zapytałem. Na to podał mi swe nazwisko i adres i rzekł: „Jestem pewny, że jeśli pan urzeczywistni swój zamiar, będę mógł wydobyć tysiąc funtów na pokrycie kosztów. Gdy rzecz dojrzeje, proszę przyjść do mnie wtedy pomówimy o realizacji”. Podziękowałem za tę zachętę i przyrzekłem złożyć wizytę w odpowiedniej chwili. Dobrodziejem tym i niejako ojcem chrzestnym całego przedsięwzięcia, był Sir Eric Barrington, wyższy urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Lecz nie tu koniec mego szczęścia. Następnego dnia miałem coś do załatwienia w znanej firmie wydawniczej „Smith, Elder and Co”; podczas rozmowy z Reginaldem Smith'em wspomniałem mu o moim planie. Bez chwili wahania oddał mi na usługi cały swój aparat wydawniczy, nie żądając żadnej zapłaty. Od



tej chwili stał się on w istocie współnikiera mego przedsięwzięcia i to współnikiem, który poza pracą wydawniczą, na każdym kroku oddawał mi ogromne usługi. Dzięki jego ofiarności i uczynności nie tylko zmniejszyła się suma potrzebnego funduszu, lecz i kwestja zamówienia i dystrybucji tłumaczeń na obce języki została załatwioną w dużej mierze.

Tego samego dnia udałem się do Ministerstwa Wojny, które oddało do mego użytku wszelkie dokumenty, jakie posiadało. Z kolei napisałem do Times'a, objaśniając o celu mego zamierzenia i prosząc wszystkich sympatyzujących z tym celem, o jego poparcie. Odpowiedź na mój apel była szczodra i szybka. Moja poczta następnego dnia wynosiła 127 listów, z których niemal wszystkie zawierały jakiś datek od 50 funtów Lorda Rosebery'ego do 2½ szylinga ubogiej wdowy po żołnierzu. Przeważnej części datków towarzyszyły listy, które dowodziły, że mimo pozornej, zewnętrznej obojętności, ogół publiczności odczuł głęboko niesprawiedliwość krzywdzącej postawy krytyków zagranicznych.

Dopiero 9 stycznia mogłem być zasiąść do pracy nad broszurą. W dniu 17 stycznia skończyłem jej pisanie. Zważywszy ogrom materiału i ilość dat i danych, które należało sprawdzać i porównywać wielokrotnie, oznajmienie, że poświęciłem tej pracy cały czas, jest zbyt cenne. W istocie pracowałem szesnaście godzin dziennie. O ile było możliwem, unikałem wypowiedziania mych sądów i poglądów indywidualnych, zgrupowanie twierdzeń i świadectw świadków naocz-

nych, wśród nich wielu Burów, w kwestjach takich, jak palenie osad, gwałty wszelkiego rodzaju, obozy koncentracyjne i t. p., robiło większe wrażenie. O ile dawałem jakieś uwagi własne, starałem się by były jak najkrótsze i rzeczowe; co do ścisłości moich dat i danych, mogę się pochwalić, że wyjąwszy trudną do ustalenia liczbę podpaleń, żadna z nich nie spotkała się z zaprzeczeniem. To też czułem się szczęśliwym, gdy skończywszy mą pracę, odkładałem pióro z uczuciem, że napisałem ją możliwie najlepiej, w granicach moich zdolności.

W tym samym czasie fundusz składkowy wynosił już przeszło tysiąc funtów. Większa część tych datków składała się z drobnych sum od ludzi, których nie stać było na sumy większe. Zastanawiała przedewszystkiem ilość nauczycielek, mieszkających zagranicą, których życie stało się bardzo ciężkie wskutek ich bezsilności wobec potwarczych zarzutów, które napewno powtarzano w ich obecności. Drugim miłym rysem była ilość cudzoziemców, mieszkających stale w Anglii, którzy pośpieszyli z poparciem mego szematu, w nadziei, że pomoże on im rodakom w wytworzeniu sobie sprawiedliwego sądu. Od samych Norwęgów otrzymałem przeszło 50 funtów. Jeszcze inny szczegół zasługuje na podkreślenie, mianowicie ogromne poparcie ze strony duchowieństwa; kilku z nich tłomaczyło mi ten fakt tem, że od czasu wojny zasypywano ich wprost literaturą anty-brytyjską, stąd z radością przyjęli mój zamiar, jako środek przeciwdziałania.

Kiedy broszura była gotowa, posłałem ją memu nowemu przyjacielowi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i natychmiast otrzymałem zaproszenie do przybycia. Wyraził się on z uznaniem o mej pracy i wręczył mi banknot 500 funtowy, oświadczając, że pieniądze te nie pochodzą od niego. Zapytałem, czy mogę umieścić na liście składkowej w Times'ie tę sumę z dodaniem: „od bezimiennego ofiarodawcy”. W ten sposób fundusz urósł do sumy przeszło 2.000 funtów, tak, że należało przystąpić do publikacji i tłumaczeń. Z uwagi na ogrom zajęcia, kwestja dystrybucji wydania angielskiego została powierzona firmie Newnes, która wywiązała się z zadania znakomicie i zupełnie bezinteresownie. Cena broszury wynosiła sześć pensów, lecz firmy, które nabywały większe ilości, otrzymywały ją za połowę tej ceny. Celem tej zniżki było danie sposobności zarobku małym detalistom. Sprzedaż broszury odbywała się nadspodziewanie szybko; w ciągu dwóch miesięcy rozeszło się w Wielkiej Brytanji jakieś 300.000 egzemplarzy. Zarezerwowany mały dochód od każdego egzemplarza, powiększył w rezultacie wydatnie nasz fundusz, tak, że finansowa strona kwestji tłumaczeń była zabezpieczoną.

Francuskie wydanie przygotował profesor Sumichrast z uniwersytetu w Havard, z pochodzenia Francuz Kanadyjski. Oczywiście dokonał on tłumaczenia świetnie i bezinteresownie. Wydał je bez żadnych trudności Galignani; kilkanaście tysięcy egzemplarzy rozdano gratisowo we Francji, Belgji i Szwajcarji. To francuskie wydanie wynosiło 20 tysięcy egzemplarzy.

Trudniejszą była kwestja wydania niemieckiego. Żaden wydawca niemiecki nie chciał się podjąć wydania tej broszury a jedyna grzeczność, jakiej doznaliśmy w tym kraju, spotkała nas ze strony barona Tauchnitzta, który włączył broszurę do swej angielskiej biblioteki. Naogół propozycje nasze spotkały się z chłodem a czasem wprost z obrazą. Oto np. kopja listu, jednego z wielu, otrzymanych przez firmę Smith, Elder and Co.:

Styczeń, 1902.

„Panowie, książka Doyle'a czyni wrażenie, jak gdyby była napisana na zamówienie, lub pod wpływem angielskiej partji szowinistów.

Panowie wiecie, że ta partja wojenna (podobnie jak oficerowie i żołnierze angielscy w Transwaalu) spotkała się z potępieniem całego świata cywilizowanego, gdyż jest to gromada tchórzliwych łotrów i brutalnych rzezimieszków, mordujących dzieci i kobiety.

Jako firma, importująca literaturę angielską do Niemiec, Austrii i Rosji, nie możemy się narazić na podejrzenie, że jesteśmy w jakichkolwiek stosunkach z tak pogardzoną partją. Pokazaliśmy list panów kilku innym firmom, lecz żadna nie okazała chęci zajęcia się tą sprawą”.

Jest w tym liście typowa mieszanina jadowitej złości i przesadnej godności, toteż zachowuję go w mej kolekcji osobliwości. Lecz mimo takich odpraw, znalazłem wreszcie w Berlinie firmę angielsko-niemiecką, która podjęła się wydawnictwa, zaś przy pomocy pana

Curt'a von Musgrave, który dokonał doskonałego przekładu, udało mi się rozrzucić spory nakład; na rezultat nie trzeba było długo czekać, gdyż ta część prasy, która miała jeszcze poczucie niezależności, wkrótce zmodyfikowała wyraźnie swój ton. Naogół rozeszło się w Niemczech i Austrii około 20 tysięcy egzemplarzy.

Z tego pamiętam jeden zabawny wypadek. Czując się trochę zmęczonym, udałem się na krótki odpoczynek do Seaford. Tam doszła mnie wiadomość, że jakiś oficer, Wszech-Niemiec, przybył do Londynu dla zobaczenia się ze mną. Odpowiedziałem, że nie mogę przyjechać do Londynu, lecz rad będę zobaczyć gościa w Seaford. Istotnie, najbliższym pociągami przyjechał; był to człowiek pięknej, żołnierskiej postawy, władający świetną angielszczyzną. Miał on w ręku kopertę niemieckiego wydania i ogromną przykrość sprawiło mu to, co powiedziałem o wrogiej postawie, zajętej przez Niemców wobec nas i o wynikłej stąd zmianie uczuć naszych ku nim. Na ten temat prowadziliśmy bardzo ożywioną rozmowę przez cały dzień. Jego najsilniejszym argumentem było twierdzenie, że Niemcy i Wielka Brytania będą musiały w przyszłości prowadzić wspólną walkę z Rosją — Wielka Brytania o Indje, a Niemcy prawdopodobnie o prowincje Bałtyckie. Stąd z jego wszech-niemieckiego punktu widzenia, oba kraje powinny utrzymywać możliwie ścisły kontakt. Zapewniłem go, że w tej chwili stosunek nasz do Niemiec był bardziej wrogi niż do Rosji. Wątpił w to. Poradziłem mu, aby zapytał każdego konduktora omnibusu w Londynie, dla sprawdzenia opinii pow-

szechnej. Zależało mu bardzo, abym złagodził niektóre ustępy; odmówiłem stanowczo, gdyż byłem przekonany o ich prawdzie. W końcu, przed samym powrotem do Londynu, rzekł: „Odbyłem podróż 800-milową dla zbaczenia się z panem. Na odchodnym proszę pana tylko o pozwolenie umieszczenia na początku danego ustępu słowa: „Leider“ („Niestety“). Zgodziłem się na to chętnie. Tak podróż, wynosząca razem 1.600 mil, przyniosła mu zdobycz jednego słowa, lecz przyznać muszę, że mi się ten człowiek podobał.

W związku z tem tłumaczeniem niemieckiem, przypomina mi się inny, bardzo miły incydent. Pewna grupa niemiecko-szwajcarska była tak zapalona dla naszej sprawy, że postarała się o osobne tłumaczenie i wydanie w Zurychu, własnym kosztem; wielką pomocą w tem przedsięwzięciu był D-r Angst, miejscowy konsul brytyjski. Człowiekiem, który okazał również wiele entuzjazmu dla całej sprawy, narażając się na wiele nieprzyjemności, był profesor Naville, znany Egiptolog z Genewy; dalej Monsieur Talichet, znany redaktor „Bibliothèque Universelle“ w Lozannie.

Tyle w sprawie wydań francuskiego i niemieckiego. Ameryka i Kanada same się zajęły sporządzeniem wydań. Z kolei przygotowaliśmy szybko wydanie hiszpańskie, portugalskie, włoskie, węgierskie i rosyjskie; wszystkie one nie sprawiły nam żadnych kłopotów, z wyjątkiem rosyjskiego, wydanego w Odessie, którego cyrkulacji zabroniła w ostatniej chwili cenzura. Ostatecznie jednak udało nam się zakaz ten cofnąć. W każ-

dym z wymienionych krajów rozeszło się kilkanaście tysięcy egzemplarzy. Nadspodziewanie dużą była jednak sprzedaż za granicą, głównie dzięki wysiłkom obywateli brytyjskich, mieszkających na obczyźnie.

Sprawa wydania holenderskiego przedstawiała największe trudności. Ten dzielny, mały naród miał oczywiście wiele współczucia dla swych krewniaków, którzy podnieśli broń przeciwko nam, i wierzył, że im się dzieje krzywda. Była to rzecz zupełnie naturalna. Lecz rezultatem jej była niemożliwość znalezienia wydawcy. Z drugiej strony opozycja ta wykazywała jak potrzebne jest wydanie holenderskie; w końcu p. Reginald Smith zdecydował wydrukowanie pięciu tysięcy egzemplarzy w języku holenderskim w Londynie i rozesłanie ich wprost kierowniczym jednostkom w Holandji. Z tej liczby rozesłanych egzemplarzy zwrócono zaledwie jakieś dwadzieścia.

Pewną trudność nastęczyło również wydanie norweskie; w pokonaniu ich dużą pomocą był pan Thomassen, wydawca pisma „Verdensgang”. Jakkolwiek było to pismo anty-brytyjskie, w tym wypadku oświadczyło się na korzyść publikacji w imię zasady, że obie strony powinny być zawsze wysłuchane. Mam nawet wrażenie, że poznanie bliższe całej sprawy z naszego punktu widzenia, wpłynęło na złagodzenie postawy samego wydawcy, który zrozumiał, że naród nie czyni długoletnich poświęceń dla nijskiej i niegodnej sprawy. Pamiętam także inny drobny szczegół w związku z tem wydaniem. Dla każdego wydania kontynentalnego napisałem specjalną krótką przedmowę, mającą na celu

zyskanie sympatji dla sprawy tego narodu, dla którego książka była przeznaczoną. W tym wypadku, tłumaczenie tej przedmowy, dokonane przez panią Brockmann, nie doszło rąk drukarza na czas wskutek szalejących zawieji śnieżnych, która nie pozwoliła tłumaczce, mieszkającej o sto mil od Chrystjanji, przesłać rękopisu. Zdawało się, że broszura ukaże się bez przedmowy. Ostatecznie jednak, zważywszy jej krótkość, przesłano ją od szczytu do szczytu przy pomocy heliografu.

Innym językiem, na który trzeba było przetłumaczyć broszurę, był język walijski, gdyż niemal cała prasa walijska była po stronie Burów, tak, że ludność walijska miała bardzo fałszywe pojęcie o sprawie, za którą walczyło tylu jej współ-obywateli. Tłumaczenia dokonał p. W. Evans, zaś rozesełaniem zajęło się angielskie pismo w Cardiff'ie „Western Mail”, które rozrzuciło jakieś 10.000 egzemplarzy. Na tem zakończyła się nasza praca. Ogólna ilość wydanych egzemplarzy przedstawiała się następująco: 300.000 wydania brytyjskiego; 50.000 wydania kanadyjskiego i amerykańskiego; 20.000 wydania niemieckiego; 20.000 wydania francuskiego; 5.000 holenderskiego, 10.000 walijskiego, 3.500 portugalskiego, 10.000 hiszpańskiego, 5.000 włoskiego i 5.000 rosyjskiego. Były także wydania w narzeczach tamiliem i kanaryjskiem, lecz liczby ich nie pamiętam. Naogół widziałem mą broszurę w dwudziestu różnych językach. Fundusz, którym rozporządzaliśmy po opłaceniu wszystkich kosztów, wynosił około 5 tysięcy funtów, z czego połowa pochodzi-



ła ze składek, a połowa stanowiła dochód ze sprzedaży.

Na rezultaty naszych wysiłków nie trzeba było długo czekać, gdyż wkrótce nastąpiła nagła i widoczna zmiana w tonie całej prasy kontynentalnej, która wprawdzie mogła być czystą koincydencją, lecz napewno nie była nią, o ile chodziło o wielkie organy opinii publicznej, gdyż argumenty, któremi operowały ich artykuły wstępne, były czerpane i cytowane wprost z mojej broszury. Tak np. było w wypadku wiedeńskiego „Tagblatt'u“, którego korespondent londyński, D-r Maurice Ernst, okazał mi wielką pomoc i życzliwość. Podobnie miała się rzecz z „National Zeitung“ w Berlinie, z „Indépendance Belge“ w Brukseli i wielu innymi. Lecz w przeważnej części wypadków trudno było się spodziewać odwołania lub sprostowania dawniejszych artykułów; nam wystarczał zupełnie złagodzony i zmienny ton.

Obok zadowolenia z wyników wykonanej pracy p. Reginald Smith znalazł się wraz ze mną w posiadaniu poważnej sumy pieniężnej. Jej zwrot ofiarodawcom był niemożliwy, po pierwsze dla tego, że ofiarowali oni swe datki do mojego dowolnego rozporządzenia, powtórze dla tego, że połowa niemal tego funduszu musiałaby w takim razie wpłynąć do naszych kieszeni, gdyż stanowiła ona dochód ze sprzedaży.

Pierwszym naszym wydatkiem było zakupienie 600 egzemplarzy doskonałej książki austriacka D-ra Ferdynanda Hirza, p. t. „Recht und Unrecht im Buren-

krieg", które rozesłaliśmy osobom kierującym opinią publiczną zagraniczną.

Z kolei zakupiliśmy sześć bardzo pięknych złotych papierośnic, na których kazaliśmy wyryć napis: „Przyjacielowi Anglii od przyjaciół w Anglii”. Były to upominki dla tych, którzy okazali nam najwięcej pomocy i życzliwości. Jedną z nich wysłaliśmy znanemu publicyście francuskiemu Yves Guyot'owi, drugą panu Talichet z Lozanny, trzecią profesorowi Sumichrastowi, a czwartą profesorowi Naville. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ten ostatni bawił wówczas w Londynie, tak, że miałem przyjemność wsunąć mu w rękę ten mały upominek w chwili, gdy wdziewał palto na wychodnym z klubu „Atheneum”. Rzadko kiedy widziałem bardziej zdziwioną twarz.

Pozostawała jednak jeszcze poważna suma. Wobec tego, uzyskawszy zgodę p. Reginalda Smith'a, posłałem 1.000 funtów uniwersytetowi w Edynburgu, z warunkiem, aby je umieszczono na 4% i otrzymane tym sposobem 40 funtów rocznie przeznaczono na stypendjum dla najzdolniejszego studenta, pochodzącego z Afryki Południowej. Sądziliśmy, że w ten sposób stworzymy trwały fundusz, z którego będą mogli korzystać zarówno Brytyjczycy jak i Burowie. Było to tem możliwsiem, że uniwersytet w Edynburgu posiada zawsze sporą liczbę studentów z Południowej Afryki. Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy pod koniec roku otrzymałem list od pewnego studenta, wyrażającego nadzieję, że otrzyma rzeczzone stypendjum

i dodając, że co do swych kwalifikacji niema żadnych wątpliwości, gdyż jest czystej krwi Zulusem.

Lecz i teraz jeszcze fundusz nie był wyczerpany, tak, że posłaliśmy jednorazowe datki różnym instytucjom i organizacjom w sumach od 50 do 10 funtów. W końcu pozostała nam suma 300 funtów. Zastanawiając się nad ich przeznaczeniem, przypomnieliśmy sobie znane powiedzenie, że los państwa a nawet całego imperjum może czasem zależeć od jednego strzału 12-calowego działa. Zakupiliśmy więc za całą sumę pozostałą wspaniały puhar, który miał stanowić przez rok własność tego statku, który podczas dorocznych ćwiczeń zdobędzie największą ilość strzałów. Podstawa pucharu była wykonana z belki dębowej ze statku „Victory”, sam zaś puhar z czystego srebra, połączanego. Dzięki poparciu Admirała Sir Percy Scott'a, inspektora generalnego strzelnic, który wręczył puhar Admirałowi Eskadry Kanału La Manche, Sir Arthurowi Wilsonowi, wszystkie formalności zostały szybko załatwione, puhar został zdobyty jako nagroda już tego samego roku i od tego czasu stanowi przedmiot wielkiego współzawodnictwa wszystkich załóg. Jedynym warunkiem z naszej strony było życzenie, aby pucharu nie trzymano w jadalni, lecz na widocznym miejscu na pokładzie, tak, aby się stale rzucał w oczy marynarzom.

Cały ten epizod pozostawił w moim umyśle jedno niezatarte wrażenie, mianowicie, że rząd nasz nie działa dość w dziedzinie propagandy, mającej na celu przedstawienie i oświetlenie naszych spraw. Jeśli jednostka zdołała pracą miesiąca i kapitałem 3 tysięcy

funtów wyrzeć widoczny wpływ na opinię publiczną całego świata, ileżby mogła zdziałać organizacja naprawdę zamożna i inteligentnie kierowana. Rzecz prosta trzeba mieć słuszość po swojej stronie. Kto poza Anglją wie, ile rzetelnych wysiłków zrobiła ona dla załatwienia sprawy Irlandzkiej tak, aby zadowolić rywalizujące ze sobą obozy Irlandczyków? Naprawdę, słuszość miał ten Francuz, który powiedział, że nie umiemy się bronić. Jeśli się godzimy na wyroki zaoczne, czyż może nas dziwić, że wyroki te są nam wrogie?

## XIX

### MOJE PRZYGODY POLITYCZNE

Edynburg. — Pierwsza klęska. — Miasta pograniczne. — Reforma taryfowa. — Podrywki. — Interpelacje. — Druga klęska. — Refleksje.

Dwa razy kandydowałem do parlamentu, chociaż, gdyby mnie kto zapytał dlaczego, nie umiałbym dać jasnej odpowiedzi. Wiem napewno, że nie było we mnie gwałtownego pragnienia zostania członkiem tego dostojnego zgromadzenia; najlepszym tego dowodem jest fakt, że w obu wypadkach kandydowałem z okręgów, które każdy doświadczony parlamentarzysta uważał w moich warunkach za niemożliwe do zdobycia, jakkolwiek ofiarowano mi okręgi, w których mogłem być przejść z łatwością i to ogromną większością. Co do pierwszej kandydatury z centrum Edynburga, sentiment odgrywał zapewne jakąś rolę, gdyż w tej części miasta spędziłem moje chłopięce i młodzieńcze lata. Mówiono, że była to najsilniejsza twierdza radykalizmu szkockiego, że zatem zdobycie tego okręgu przez mnie byłoby nielada wypadkiem, gdyż jakkolwiek

byłem radykałem pod wielu względami, to jednak było rzeczą powszechnie wiadomą, że co do głównego spornego punktu tych wyborów: „Wojna czy pokój?” byłem przekonania, iż zakończenie tej wojny bez zupełnego zwycięstwa, byłoby napewno hańbą a prawdopodobnie także i katastrofą dla Imperjum Brytyjskiego.

Wiara moja mi mówi, że Opatrzność jakąś drogą zawsze wydobywa z człowieka jego najlepsze władze, że jednakowoż niezbędnem jest, aby człowiek sam zrobił wszystko, co może w tym samym kierunku, stając się tym sposobem współczynnikiem Opatrzności. Nie należy nigdy pomijać żadnej sposobności. Jeśli droga jego leży gdzieindziej, niepowodzenie powie mu o tem. Na nic się jednak nie przyda mówić, patrząc wstecz na życie minione: „Możeby się było powiodło, gdybym był poszedł tamtą drogą”. W głębi duszy czułem zawsze, że jestem tu na ziemi dla jakiegoś wielkiego celu i tylko ujemny wynik próby mógłby mi powiedzieć, że cel ten nie jest politycznym, jakkolwiek tyle wiedziałem sam, że nigdy nie mógłbym się związać z jedną partją lub uwierzyć, że dana grupa ludzi posiada same cnoty.

Moja praca polityczna nie była jednak daremną. Obie moje kandydatury były w okręgach, których wyborcy służyli z t. zw. „podrywek”, t. j. pytań, zadawanych podczas zgromadzeń wyborczych; ten niezbyt miły i często nadużywany zwyczaj nauczył mnie spokoju i panowania nad sobą na estradzie, które mi się bardzo od tego czasu przydały. Mam nawet wrażenie, że to

dwukrotne przejście przez prawdziwie ogniową próbę, miało na celu przygotowanie mnie do mojej ostatecznej misji. Pamiętam, że raz w miasteczku Hawick, mój brat, z zawodu wojskowy, odwiedził mnie, by zobaczyć jak sobie daję radę z wyborcami. Wrażenie, jakie wywierałem na słuchaczach, uderzyło go niezmiernie. „To dziwne”, rzekł mi wtedy, „ale mam wrażenie, że ostatecznie skończysz w polityce, nie w literaturze”. „Ani w jednej, ani w drugiej”, odparłem bez wahania, „religia, to dziedzina mojej właściwej pracy”. Spojrzeliśmy na siebie z równym zdziwieniem i wybuchnęliśmy obaj śmiechem. Odpowiedź moja mogła się istotnie wydać niedorzeczną, gdyż nie było do niej wówczas żadnej podstawy. Był to dziwny przejaw owej podświadomej władzy przewidywania przyszłości, która się w nas tai.

Zaledwem wrócił z Południowej Afryki, rzuciłem się gorączkowo do agitacji wyborczej. Prezesem mego komitetu wyborczego był znany obywatel Edynburga, p. Cranston, późniejszy Sir Robert Cranston. Kiedy przybyłem na miejsce, odbywało się właśnie zebranie komitetu; zmęczony podróżą, przysłuchiwałem się w milczeniu poważnej debacie, która ważyła wszelkie „za” i „przeciw” i ustalała moje poglądy na każdą aktualną kwestję. W końcu ustalono wszystko i spisano z wyraźnym zadowoleniem, poczem przystąpiono do ułożenia programu wyborczego kandydata. Słuchałem tego wszystkiego z lekkim rozbawieniem, a kiedy dyskusję skończono, zapytałem: — Może mnie panowie objaśnią, kto ma wypełnić te wszystkie przy-

rzeczenia, któremi panowie tak hojnie szafujecie? — Jakto, oczywiście, że pan. — W takim razie, byłoby lepiej, abym ja je sam sformułował, — odpowiedziałem, mnąc w garści dokument, który mi właśnie wręczono. Usiadłem i napisałem swój program. Przyjęto ten program tak dobrze, że byłbym napewno zdobył mandat, gdyby nie nieoczekiwana interwencja w ostatniej chwili.

Ci, którzy pamiętają te wybory, zgodzą się ze mną, że sprawa obudziła wielkie zainteresowanie. Przeciwnikiem moim był niejaki p. Brown, wspólnik znanej firmy wydawniczej Nelson'a, której zakłady były w samym centrum miasta. Wróciwszy świeżo z pola wojny, przejęty gorliwością dla sprawy, którą ta wojna przedstawiała, nie oszczędzałem ani sił ani czasu. Przemawiałem z beczulek, ustawionych na ulicy, lub z jakiegokolwiek podwyższenia, urządziłem szereg mniejszych przygodnych zgromadzeń, obok wielkich, zorganizowanych przez komitet, zawsze tłumnych i burzliwych. Jednym słowem nie zasypiałem gruszek w popiele. Mój przeciwnik nie był groźnym, lecz jako członek partji, miał na swe usługi cały aparat wyborczy, operujący przedewszystkiem faktem, że partja ta reprezentowała ten okręg tradycyjnie od dłuższego czasu. Największą trudnością był znany konserwatyzm Szkotów. Zmiana partji politycznej równa się dla nich zmianie religji. Innym szkopułem były głosy Irlandczyków, zamieszkałych w Edynburgu i dzielących się na katolików i protestantów. Nieświadomie, lub raczej



mimowoli, trzymając się zasady mówienia tylko tego, co było naprawdę mojem przekonaniem, dokonałem rzeczy w dziejach nieznaney, mianowicie zjednoczyłem Irlandczyków południowych (katolików) z północnymi (protestantami). Oczywiście zjednoczenie to odbiło się na mej skórze; południowcy nie głosowali za mną, gdyż jakkolwiek byłem zwolennikiem dewolucji, nie nawróciłem się jeszcze do Homa Rule'u, zaś proteſtanci nie mogli mi darować, że się opowiedziałem na korzyść katolickiego uniwersytetu w Dublinie. Toteż kiedy udałem się na zgromadzenie do dzielnicy irlandzkiej, dowiedziałem się, że istnieje zamiar rozbić zgromadzenie. Zdaje się, że taki zamiar istniał naprawdę, lecz zdołałem jakoś pozyskać słuchaczy, a nawet wywołałem łzy w oczach niektórych, kiedy im opowiedziałem o spotkaniu dwóch bataljonów Królewskich Strzelców Dublińskich, pod Ladysmith. Toteż kiedy w chwilę później pojawiła się na estradzie złowieszcza postać miejscowego rzeźnika z rzeźni końskiej, który zaczął coś bąkać o wolności słowa, uznałem, że gwałtowne wystąpienie przeciw niemu ze strony mego komitetu mogłoby się stać hasłem do zamierzonych rozruchów i odezwałem się poprostu: — Prosimy, prosimy, dalej, bracie! Przywitany w ten sposób „brat“ stracił animusz i przeszedłszy estradę zniknął na drugim jej końcu, zaś ja odbyłem wiec spokojnie.

W miarę zbliżania się dnia wyborów, przeciwnicy moi uznali, że stają się bardzo niebezpiecznym. A jednak poniosłem sromotną klęskę, dzięki dziwnej interwencji, o której już powyżej napomknąłem. Żył wów-

czas w Dunfermline ewangelik, fanatyk, który za cel swego życia uważał niedopuszczanie do parlamentu katolików. Otóż ten jegomość, nazwiskiem Plimner, postarał się, że w ciągu ostatniej nocy przed wyborami, cały okręg został formalnie zarzucony olbrzymimi plakatami, które głosiły, że jestem rzymskim katolikiem, żem się wychowywał u Jezuitów, że kandydatura moja była poprostu napaścią na Kościół Szkocki i wszystko to, co sercu szkockiemu jest drogie. Był to bardzo sprytny krok i moi zwolennicy widzieli mnóstwo ludzi, którzy przeczytawszy te plakaty, oświadczyli głośno, że głosować na mnie nie mogą. Mimo to jednak przeciwnik mój zdobył mandat większością tylko jakichś kilkuset głosów. Wyłoniła się kwestja apelacji, lecz po namyśle uznaliśmy, że byłby to daremny trud, gdyż jakkolwiek poglądy moje nie miały nic wspólnego z systemem jezuickim, nie mogłem zaprzeczyć, żem się w ich zakładach wychowywał.

Patrząc dziś na tę sprawę wstecz, mam przekonanie, że ów pan Plimner był jednym z największych moich dobroczyńców. W ostatniej chwili, zmienił on bieg wydarzeń i zapobiegł memu wejściu na drogę, któraby mnie była zaprowadziła prawdopodobnie do punktu martwego. Wiem, że nigdy nie mógłbym się być stać człowiekiem partji, zaś w naszym systemie nie ma przyszłości dla polityka poza-partyjnego. Oczywiście, że doraźnie odczułem wynik jako klęskę osobistą, tak, że nawet napisałem list otwarty do pisma „Scotsman”, w którym określiłem moją postawę religijną; krok ten, a raczej treść listu wywołała wówczas liczne komen-

ta i ze. Od miejscowego organizatora partji, Sir John'a Borastona otrzymałem list, którego pierwsze zdanie przyznawało możliwość protestu na drodze prawnej. List ten brzmiał następująco:

18 października, 1900.

„Drogi Doktorze Doyle,

Pańscy doradcy prawni mają zupełną rację, gdyż trudno się pogodzić z myślą, aby sprawcy napaści osobistych w rodzaju tych, jaką obmyślono na Pana, mieli ujść bezkarnie.

Stoczył pan walkę niezwykłą i chociaż nie zdobył pan mandatu dla siebie, lecz przyczynił się pan w sposób bardzo widoczny do dwóch zwycięstw Liberalnych Unionistów w dwóch innych okręgach Edynburga. Tej zasługi nikt panu nie odmówi.

Mam przekonanie, że się pan zgodzi ze mną, gdy oświadczę że pański pierwszy krok na arenie politycznej daje rękojmię zupełnego zwycięstwa w niedaląkiej przyszłości i wyrażam nadzieję, że zobaczę pana niedługo, dla omówienia przyszłej kandydatury.

Pański wierny sługa

*John Boraston*“.

Co do mnie, nie czułem wielkiej skłonności do ponownej próby, lecz kiedy nadeszły wybory z r. 1905,

pod hasłem Reformy Taryfowej, uczulem, że jest moim obowiązkiem złożyć coś na ołtarzu mych ówczesnych przekonań. Obecny Lord Shaw, jeden z największych radykałów szkockich, był posłem z okręgu t. zw. Miast Granicznych, w istocie trzech małych miast, Hawick, Galashiels i Selkirk, które się trudniły handlem wyrobami wełnianymi i ucierpiały bardzo wskutek takiego współzawodnictwa niemieckiego. Zdawało mi się, że to był teren, na którym każdy będzie głosował na korzyść protekcyjnej polityki Józefa Chamberlaine'a; zasada wolnego handlu i otwartego rynku spowodowała w tym okręgu tylko straty. Rozumowanie moje było zupełnie słuszne, nie brałem jednak w rachubę konserwatyizmu charakteru szkockiego, który nie umie przystosować swych zasad ogólnych do wymagań poszczególnych wypadków — rys zapewne cenny, lecz czasem niepraktyczny. Polityka partyjna nie jest prawem boskiem, jeno sumą środków do celu, które powinny się zmieniać zależnie od celu.

Tym razem włożyłem istotnie dużo pracy i pieniędzy, gdyż w takich wypadkach niema co żałować. Między rzeczami, które stawiałem wtedy na hazard, znalazł się także i mój kark, gdyż dla zjednania sobie popularności wśród mieszkańców miasteczka Hawick, przyjąłem udział w t. zw. „gminnej jeździe“, mającej na celu określenie granic okólnika. Jazda ta polega na tem, że każdy uczestnik musi odbyć półmilowy galop gościńcem wzdłuż którego stoją mieszczanie, zachęcający rumaka do pośpiechu laskami i parasolami. Dano mi konia myśliwskiego, pełnego ognia i zapału. Na

szczęście owa jazda miała się odbyć po południu, tak, że ujeździłem mego rumaka trochę przed obiadem, lecz i tak, nie będąc nadzwyczajnym jeźdźcem, omal nie przypląciłem tego sportu kalectwem lub śmiercią. Jestem pewny, że ta zabawa skończy się kiedyś czyjąś śmiercią, pomijając już fakt, że konie często się kaleczą. Po tej jeździe odbywa się recytowanie nieskończonej długiej ballady, z chórem powtarzającym refren, przyczem wszyscy obecni wybijają takt nogami. Z grzeczności prostej wypadło czynić to samo co inni, lecz dla mnie najzabawniejszym był moment po powrocie do Londynu, kiedy ujrzałem w pismach ilustracje, przedstawiające mnie tańczącego przy dźwiękach szkockiej kobzy, przed wyborami. Wyznaję, że drugi raz nie brałbym udziału w „gminnej jeździe”.

Trudność kandydowania z okręgu, obejmującego trzy miasteczka, polega na tem, że je ożywia wzajemna zazdrość, wskutek czego wszystko niemal trzeba robić trzykrotnie. Dlatego całe to wiecowanie wyborcze dało mi się dobrze we znaki i rad byłem, gdy się skończyło. Miałem wtedy — i dziś tak samo — przekonanie, że jakaś ruchoma skala taryfowa byłaby dla naszego handlu i przemysłu korzystną i skłoniłaby może któregoś z naszych współzawodników do zaprzestania zamykania swych rynków przed nami, gdy równocześnie korzystają oni do woli z naszych rynków otwartych. Jeszcze i dziś sądzę, że pomysł Chamberlain'a był słuszny i że poniósł on klęskę zarówno przez bezwiednie jak i świadomie fałszywą interpretację, w której chińscy najemnicy i drożyzna żywności grały głów-

ną rolę. Stałem raz wewnątrz opustoszałej, nieczynnej fabryki, w jednym z wymienionych trzech miasteczek, wykazując, że zniszczyła ją konkurencja z Niemcami, którzy w czasie, gdy my wprowadzamy ich wyroby na nasze rynki, zamykają swoje wysokiemi ścianami a za użyte pieniądze budują okręty wojenne, z którymi trzeba nam się będzie w przyszłości rozprawić. Odpowiedź na moje argumenty polegała głównie na pokazywaniu czerwonych kartonów, z wyobrażeniem okutych w kajdany Chińczyków, pracujących w kopalniach francuskich i innych podobnych niedorzeczności. Toteż pracowałem bardzo ciężko, tak dalece, że w ostatnim dniu przed wyborami odbyłem zgromadzenie we wszystkich trzech miasteczkach, choć oddzielały je wielomilowe górzyste przestrzenie. Lecz mimo tych wysiłków poniosłem klęskę; jedyną pociechą moją był fakt, że w tym okręgu spadek głosów naszej partji był najmniejszy. Co mnie jednak najwięcej irytowało, to nieobecność mego zwycięskiego przeciwnika „Tommy” Shaw’a, który pokazał się w okręgu raz tylko, poczem całą agitację prowadził przez swego zastępcę. Drugą moją pociechą, pełną jednak melancholji, była wieść, otrzymana w kilka tygodni później, o bankructwie prezesa partji radykalnej, który był pod silnym wrażeniem krzywd Chińczyków w Transwaalu, lecz jako powód bankructwa podał zagraniczne współzawodnictwo w zakresie handlu wyrobami wełnianymi.

Agitacja wyborcza to podła robota, chociaż ma niewątpliwie swoje cechy dodatnie; podobna ona jest do kąpieli błotnych, które oczyszczają i uzdrawiają.

Porównanie to jest szczególnie trafne, o ile chodzi o Szkocję, gdzie sztuka t. zw. „podrywek” doprowadzona jest do krańcowej doskonałości. To zadawanie pytań ma swoją rację bytu, jak długo pytania wpływają z chęci poznania poglądów kandydata na sprawy publiczne. Lecz takie pytania należą do wyjątków; z reguły jest się zasypywanym mnóstwem podstępnych, niedorzecznych pytań, przez ludzi złośliwych i nieodpowiedzialnych, często najmowanych dla dokuczania lub ośmieszania kandydata. Często po godzinnem przemówieniu, musiałem drugą godzinę spędzić na odpowiadaniu na coraz bardziej niedorzeczne kwestje. Wyciągi z prasy miejscowej mogłyby wykazać, że na ogół dawałem sobie rady, gdyż przedmiot znałem dobrze a z metodą walki wyborczej zaznajomiłem się także niezłe. Pamiętam raz jakiegoś drağala, który w chwili, gdym mówił o potrzebie odwetu w walce słowej, zawołał z końca sali: — Panie kandydacie, jak pan pogodzi zasadę odwetu z kazaniem na Górze Oliwnej? — Odpowiedziałem natychmiast: — W życiu nie zawsze możemy osiągnąć najwyższy ideał. Czy pan sprzedał wszystko i rozdał ubogim? — Człowiek ten znany był ze swych niezbyt chrześcijańskich zasad, więc odpowiedź moja zamknęła mu usta, ku uciesze zebranych.

Szkoci posiadają bardzo spokojny a jednak cięty humor, który warto mieć po swojej stronie. Pamiętam raz człowieka, który na końcu kija miał przywiązany bochenek chleba i raz po raz podsuwał mi go pod oczy z bocznej łoży teatru, w którym odbywał się wiec. Znaczenie tego było prawdopodobnie podniesienie ce-

ny chleba przy systemie protekcji. Trudno było zupełnie ten gest zignorować, lecz nie wiedziałem, jak się go pozbyć. Naraz jeden z moich komitetowych zawołał miejscową gwarą: „Ta zabierz się z tem do domu i zjedz!” Skutek był doraźny. Te niespodziewane interpelacje, wypowiedane są zwykle głosem powolnym, spokojnym a jednak dziwnie donośnym. Kiedy, mówiąc o wojnie z Burami, zawołałem w pewnym podnieceniu: „Kto ma za tę wojnę płacić?!” jakiś schorowany biedaczysko, stojący pod ścianą, zapiszczał: „A cóż mnie to obchodzi?“, wywołując burzę śmiechu, do którego i ja mimowoli się dołączyłem. Innym razem mowę moją przerwał żart, który, choć niezrozumiały dla mnie, wprowadził słuchaczy wprost w szal śmiechu. Mówiłem o poczuciu godności i zewnętrznym przyzwyczajeniu robotników amerykańskich, kiedy jakiś senny głos zaśpiewał: „Warto zajrzeć do Brown'a”. Czy fabryka Browna znana była z czystości, czy z niechlujstwa, tego się nie dowiedział.

Radykali przybywali na moje wiece tłumnie i oni to stanowili głównie publiczność mi wrogą. Ponieważ ich kandydat prawie nie agitował, więc moje zebrania były jedynym polem ich zabawy. Przed rozpoczęciem wiecu sala brzmiała zazwyczaj od walki na słowa, wykrzykiwania haseł, śpiewania pieśni partyjnych, tak, że zbliżając się do gmachu miałem wrażenie, że wchodzi do menażerji podczas karmienia. Często mnie odwaga opuszczała, słuchając szalonego wrzasku i pytałem sam siebie, poco to wszystko. Lecz znalazłszy się



raz na estradzie, zapalałem się i nie ustępowałem pod żadnym naporem. Wszystko to kształciło mnie na przyzłość, chociaż wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, idąc za jakimś ślepym instynktem. Najwięcej mnie męczyły wybryki ludzi wulgarnych, których jest więcej między zamożnymi niż ubogimi. Nie lubię żartować z nikogo, dlatego widok człowieka, żartującego nie stosownie ze mnie, doprowadza mnie do gniewu. Kandydat jednak nie może się gniewać, gdyż byłoby to szkodliwym dla jego partji. Pod tym względem zawsze niałem się na baczności, aby nikogo nie obrazić i pamiętam dobrze, jak raz wytrzymałem cierpliwie trzydniową kampanję, narażony na niejedno poniżenie. Lecz gotowało się we mnie wszystko i oto w ostatniej chwili, kiedy już stałem na stacji, czekając na pociąg, jeden z moich komitetowych, młody, zuchwały drażal, podszedł do mnie z głośnem, poufałem, wulgarnem pozdrowieniem, przyczem ścisnął mnie za rękę tak mocno, że mój sygnet wpił się w ciało. Wyczerpała się moja cierpliwość i wypaliłem mu odpowiedź językiem, którego od czasu połowu na wieloryby nie używałem. Potok mych słów, który zwałił go niemal z nóg, stanowiął dziwne pożegnanie grupy mych zwolenników.

Tak się skończyła moja karjera polityczna. Mógłbym powtórzyć za jednym z moich przyjaciół, że „Wyborcy wrócili mnie na łono rodziny”. Lepsze ono, niż mandat wyborczy. A jednak, mimo poniesionego zawodu, czułem, że czeka mnie gdzieś jakaś służba publiczna. Człowiek rad myśli, że w jakiś sposób może

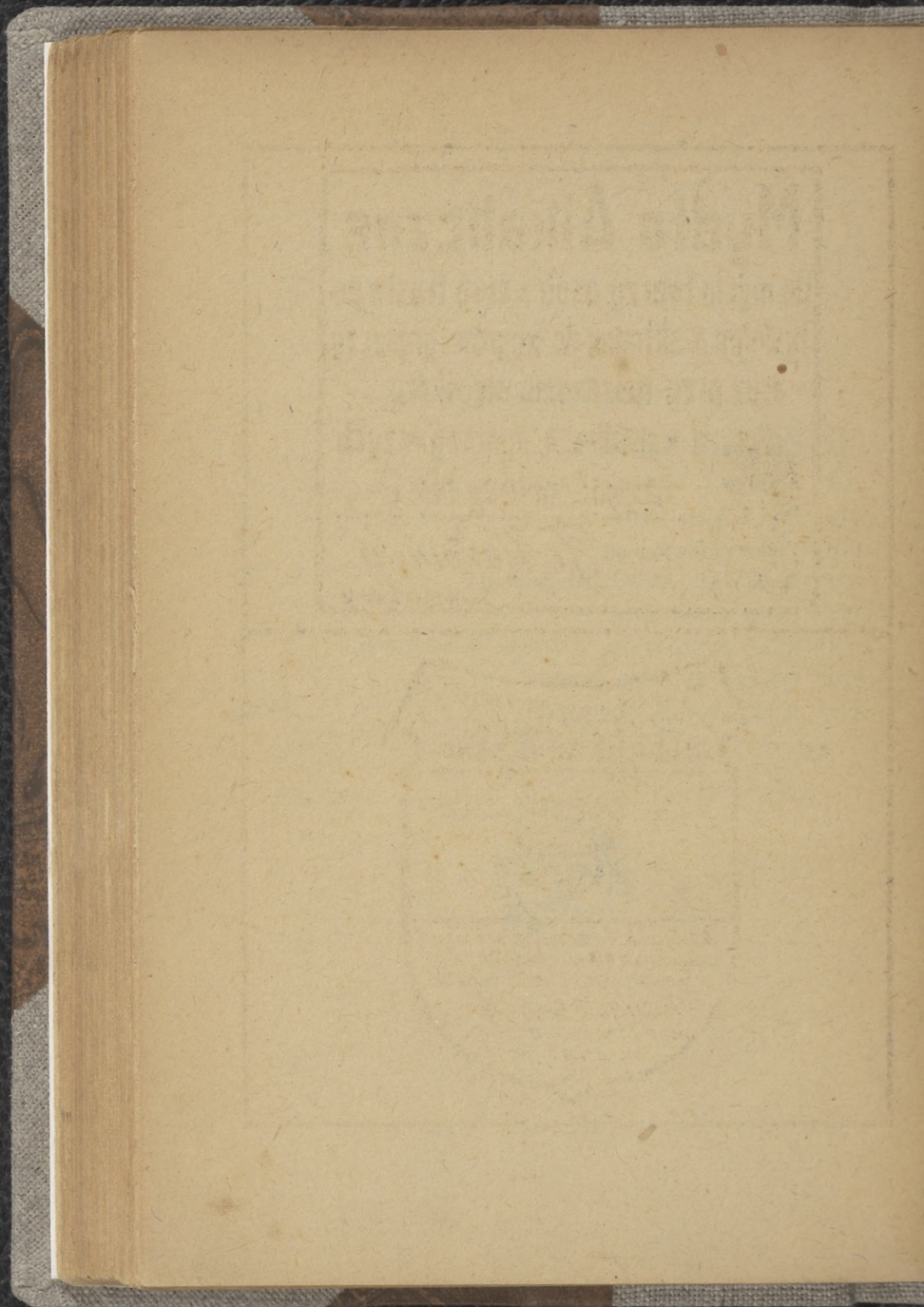
wywrzeć wpływ na swoją współczesność; toteż dodaję sobie odwagi myśla o moich kilku broszurach i listach otwartych, umieszczonych w prasie, które wywarły może pewien wpływ na publiczność, od czasu, gdy się odżegnałem od czynnej polityki, często mającej pogodę i bezstronność sądu.

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO

## TREŚĆ ROZDZIAŁÓW

	Str.
XI. Norwood i Szwajcarja . . . . .	5
XII. Egipt w r. 1896 . . . . .	18
XIII. Pod bokiem burzy . . . . .	31
XIV. Przegrywka pokoju . . . . .	45
XV. Wyjazd do Afryki Południowej . . . . .	57
XVI. Pobyt wśród armji . . . . .	75
XVII. Końcowe przeżycia w Afryce Południowej . . . . .	95
XVIII. Odezwa do opinji świata . . . . .	111
XIX. Moje przygody polityczne . . . . .	127





# Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy osób z cerą tłustą, potłuskującą, skłoną do wągrów i pryszczycy oraz przy łuszczeniu się skóry.



W wypadkach uporczywszych używać należy N<sup>o</sup> 2.

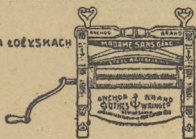
TOW. AKC. „*Jr. Karpiński*”  
- WARSZAWIE

NAJTRWAŁSZE, DRYG. AMERYKAŃSKIE

WYŻYMACZKI  
«MADAME SANS GÈNE»

NA ŁOŻYSKACH

KULKOWYCH



Zapytajcie tych z pomiędzy waszych znajomych, którzy niecej jak 10 lat używają wyżymaczki marki „Madame Sans Gène” czy choć raz odmówiła posłuszeństwa.

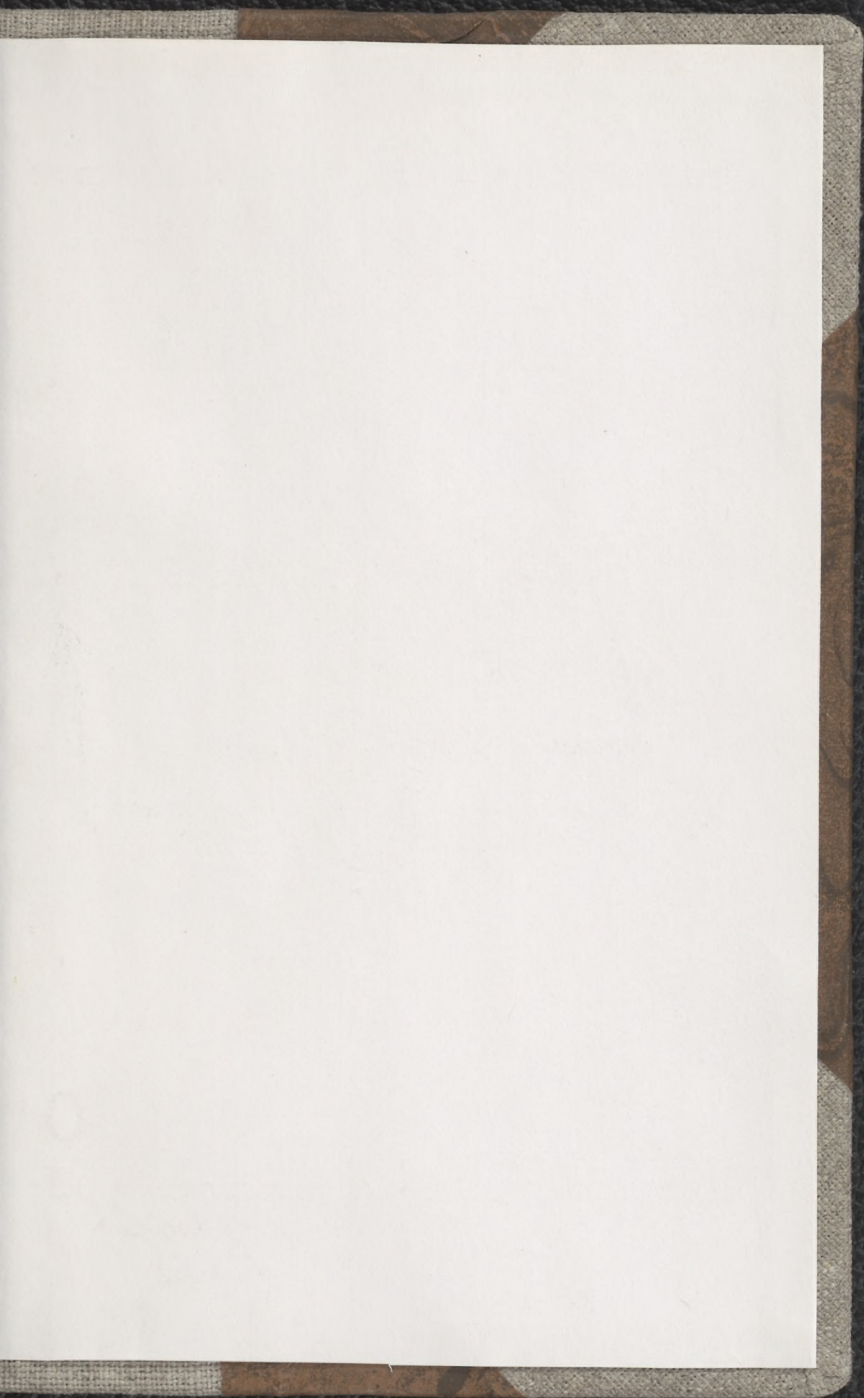


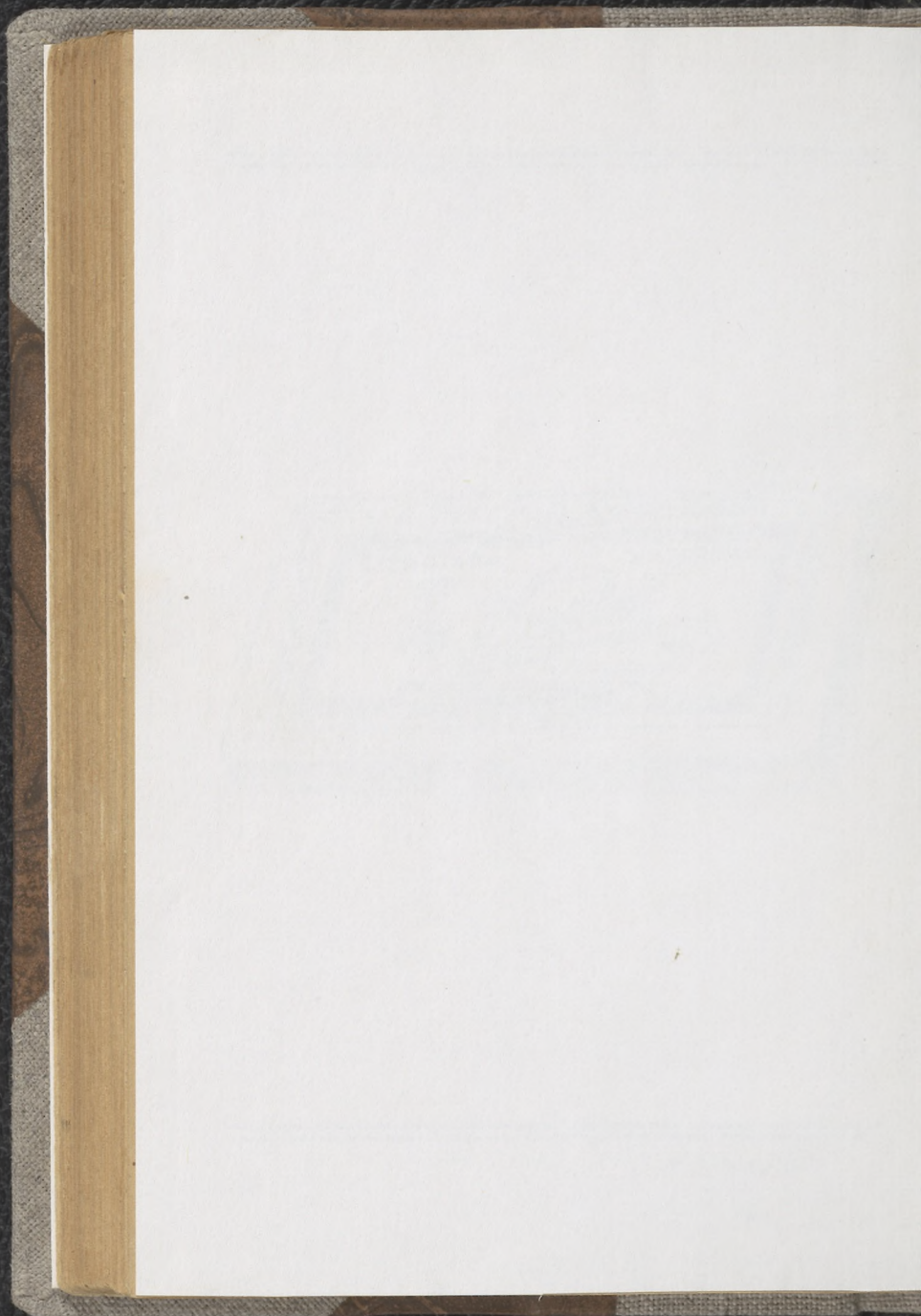
0

---

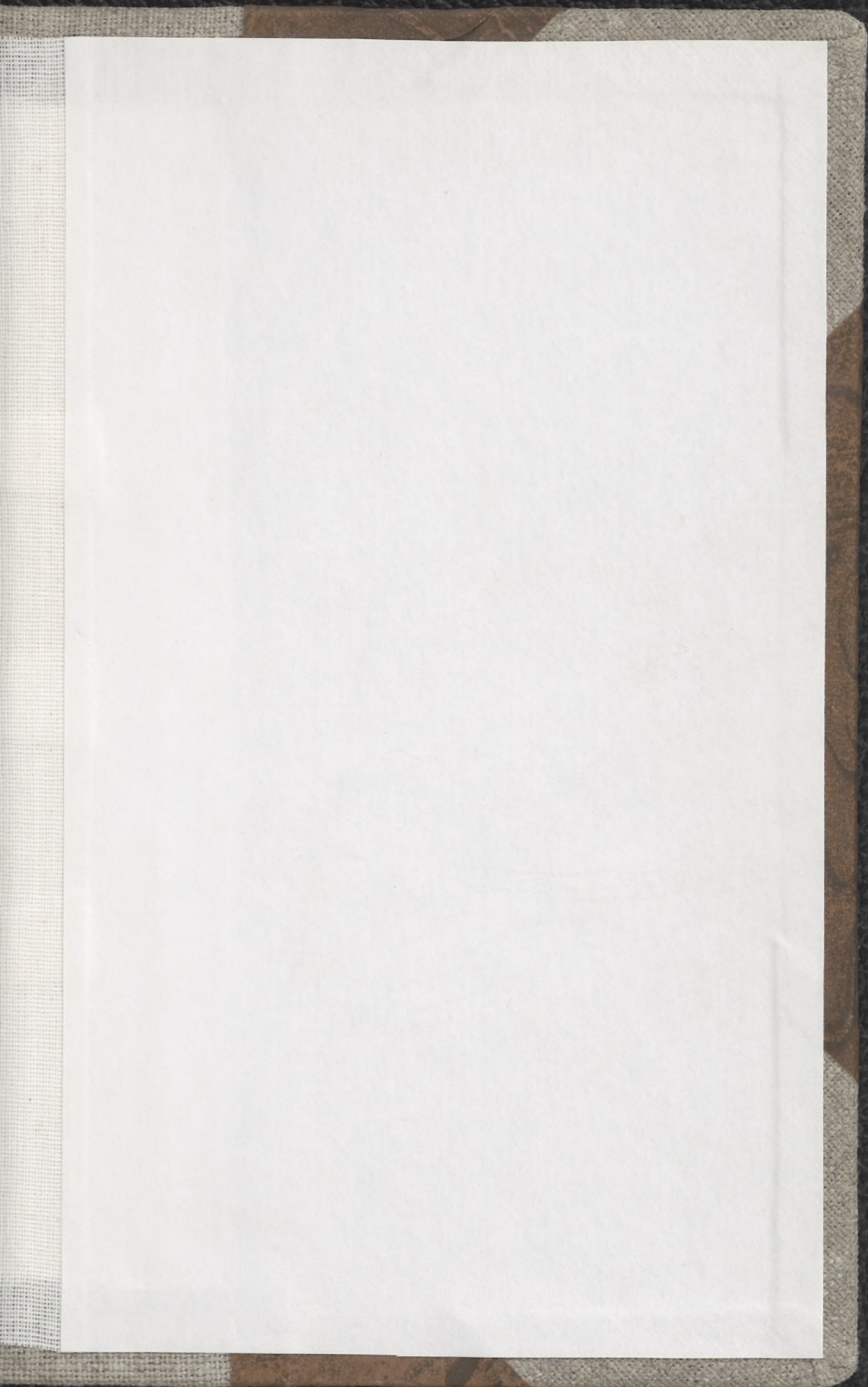
---

W. Piotrowska  
15. X. 52











645040

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017191560